CENA 50 GR.

NARÓD i PAŃSTWO
TYGODNIK

ROK III. WARSZAWA, 11 Grudnia 1938 R. NR. 47-48

Wytyczne marszu

W dotychczasowym biegu prac parlamentarnych nowowybranych izb momentem głównym z punktu widzenia przyszłości polskiego życia politycznego było wygłoszone w dniu 3 grudnia przemówienie Szefa Obozu Zjednoczenia Narodowego gen. Stanisława Skwarczyńskiego.

Przemówienie to, krótkie i zwarte, zawierało szereg stwierdzeń, zasługujących na podkreślenie, tym bardziej, że słowa wypowiadane w pewnych sytuacjach mają nie tylko ściśle zawartą w nich treść, mają również pewien swoisty im klimat. Stąd też wypowiadanie nawet prawd jasnych i prostych może być w pewnych warunkach wypadkiem dużego i istotnego znaczenia.

W przemówieniu gen. Skwarczyńskiego było szereg stwierdzeń, których znaczenie leży nie tyle w formułowaniu daleko idącego programu, ile w rozpraszaniu złośliwie nieraz nagromadzanych cieni i legend, przy równoczesnym wyznaczaniu linii rozwojowych prac Obozu w sposób charakteryzujący niejako naturalną atmosferę, w której dojrzewać będą decyzje i ustalać bardziej szczegółowe wytyczne marszu.

Do tego rodzaju stwierdzeń należy rzeczowe i ściśle odpowiadające Ustawie Konstytucyjnej sformułowanie wzajemnego stosunku Sejmu i Rządu w słowach: „zasada, że funkcje rządzenia Państwem nie należą do Sejmu" będzie nam zawsze pamiętna", przy równoczesnym podkreśleniu, że „wykonywać będziemy rzetelnie „funkcje ustawodawcze i kontrolę nad działalnością Rządu".

Inne tego rodzaju stwierdzenie dotyczy prac nad ordynacją wyborczą, których zadaniem ma być: „posunąć historyczny rozwój naszego Państwa na dobrej drodze naprzód — a nie cofnąć wstecz".

Sprawom najważniejszych dziedzin życia państwowego, jak sprawom wojska, polityki międzynarodowej, sprawom wewnętrznym, mniejszości narodowych, gospodarczym i społecznym, poświęcone były sformułowania krótkie, treściwe i ostrożne, niemniej jednak dość jasno wyznaczające zasadniczą postawę Obozu Zjednoczenia Narodowego, którą można by określić jako postawę dobrej woli systematycznego marszu wprzód, połączonego z żywym poczuciem odpowiedzialności, by „w żadnym wypadku nie wywołać zwichnięcia równowagi życia państwowego i nie narazić na szkodę interesu Państwa". Stąd niechęć do licytowania się w zakresie jaskrawości radykalizmu i atrakcyjności głoszonych haseł, co jednak nie może być poczytywane za obojętność w stosunku do istotnych możliwości w zakresie realizacyjnego programu w poszczególnych dziedzinach.

Reasumując: w przemówieniu Szefa Obozu Zjednoczenia Narodowego w Sejmie podkreślić należy następujące cechy: 1) spokojną pewność siły i płynącej z niej odpowiedzialności politycznej, 2) podkreślenie realnej wartości programowego stosunku do każdej z dziedzin życia państwowego i społecznego oraz świadomość, że Obóz Zjednoczenia Narodowego, w systematycznej pracy nad uzupełnieniem Deklaracji Ideowo-Politycznej z dnia 24 lutego roku 1937, postąpił poważnie naprzód w zakresie własnej pracy programowo-ideowej, 3 ostrożne, niemniej jednak dostatecznie wyraziste zarysowanie kierunku myślenia i rozwojowego stosunku Obozu do poszczególnych zagadnień.

Jeśli do tego dodamy, że po raz pierwszy przedstawiciel Obozu Zjednoczenia Narodowego był w tej pomyślnej sytuacji, że mógł powołać się na dokonaną już z pomyślnym wynikiem realną próbę siły, musimy uznać, że przemówienie gen. Skwarczyńskiego z dnia 4 grudnia r. b., formułujące podstawowe tezy Obozu Zjednoczenia Narodowego zarówno w jego pracy organizacyjno-ideowej, jak też parlamentarnej, stanowi w niedługich dotąd dziejach Obozu moment istotnie ważny i pozytywny.

Stąd też nie ulega wątpliwości, że w danym wypadku, bardziej niżeli w którymkolwiek z dotychczasowych wystąpień Obozu, pełne uzasadnienie miały słowa, którymi gen. Skwarczyński zamknął swe pierwsze wystąpienie na forum sejmowym, mówiąc o Obozie Zjednoczenia Narodowego:

„Jesteśmy reprezentantami wielkiego świeżego prądu zjednoczenia narodowego, który wartkim i coraz potężniejszym nurtem porywa społeczeństwo polskie. Głównym naszym celem jest przeniknięcie całego życia Polski wolą wielkości i zasadą podporządkowania interesów jednostek, grup społecznych i regionalnych, nadrzędnemu ogólnemu dobru — potędze Narodu i Państwa Polskiego".

Tadeusz Katelbach

Legionowi Młodzieży Polskiej

Przemówienie Prezesa Związku Seniorów O. M. N. i Z. P. M. D. sen. Tadeusza Katelbacha, na uroczystym kongresie inauguracyjnym Legionu Młodzieży Polskiej w dniu 8. XII 1938 r.

Drodzy Koledzy!

Ze szczerym wzruszeniem przemawiam dziś na połączeniowym Kongresie Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej i Legionu Młodych. Obie bowiem organizacje znam dobrze i choć do dzisiejszego dnia byłem seniorem tylko jednej z nich, na przestrzeni ostatnich lat czterech starałem się niemal w równym stopniu interesować zamierzeniami, troskami i nadziejami obu organizacji akademickich.

Lecz nie to stanowi przyczynę mego szczególnego i serdecznego wzruszenia. W ciągu tych lat minionych należałem do najgorętszych zwolenników połączenia obu organizacji, które przecież wyrosły z tego samego pnia ideologicznego, a których marsz drogami równoległymi odbywany nie we wspólnym szeregu organizacyjnym był dla mnie od dawna nonsensem.

Obie organizacje w okresie minionych lat blisko dziesięciu przeszły różne perturbacje i przemiany. Lecz przemiany te, mimo niewątpliwie odmiennych nieco form działania, zbliżały je, nie zaś oddalały. Widzieli to wszyscy, widziały również szerokie rzesze niezorganizowanych akademików, które wchodząc na teren akademicki szukały na nim jednego ośrodka, podejmującego trud kultywowania ideowej spuścizny Wielkiego Marszałka Józefa Piłsudskiego, które nie chciały pójść pod komendę innych ośrodków, choćby szermujących najefektowniej skonstruowaną frazeologią. Te rzesze, liczniejsze, niżby się niejednokrotnie wydawać mogło, nie były w stanie pojąć owego, rzucającego się w oczy nonsensu, jakim było istnienie dwóch takich samych ośrodków ideologicznych, maszerujących w odrębnych szeregach organizacyjnych. Nonsens ten wreszcie osłabiał prężność twórczą obu organizacji, których głos malał, tłumiony stale niewątpliwie dynamiczną, choć jakże często płytką frazeologią innych ośrodków ideowego życia współczesnej młodzieży polskiej.

Dzień dzisiejszy jest przekreśleniem tego przydługiego okresu oddzielnego marszu, przekreśleniem definitywnym. Ma on miejsce — co jest niezawodnie znamienne — w okresie wielkich procesów konsolidacyjnych, których pełne konsekwencje uwydatnią się niewątpliwie w dalszych przemianach ustrojowych i społeczno-gospodarczych. Procesy te, zainicjowane przez Naczelnego Wodza Marszałka Śmigłego - Rydza, znajdując coraz żywszy i głębszy oddźwięk w społeczeństwie, wpajają w szerokie masy obywateli przekonanie o istnieniu w życiu Narodu i Państwa wartości i kryteriów nadrzędnych, którym musi poddać się świadomy swych praw i obowiązków obywatel.

Krzewieniem tej prostej a jakże ważnej zasady muszą się zająć konsolidujące się szeregi Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej i Legionu Młodych. Nowa wspólna organizacja „Legionu Młodzieży Polskiej" winna wejść w szranki życia akademickiego również z hasłami ideowej konsolidacji młodzieży polskiej. Musi ona dążyć do skupiania rozbitych jeszcze ideowo szeregów akademickich, musi dążyć do odrodzenia dobrych tradycji ideowowychowawczych polskiego życia akademickiego, tradycji wzajemnego poszanowania cudzych przekonań, tradycji podporządkowywania wszystkich interesów grupowych interesom nadrzędnym. Mogę śmiało mówić o tym, gdyż należę do pokolenia akademickiego, które ma piękną i bogatą kartę nie tylko w historii polskich pokoleń akademickich, lecz w życiu całego narodu. W pokoleniu tym występowały z taką samą jak dziś siłą, właściwą młodym — różnice społeczne i polityczne, lecz w sprawach ogólnonarodowych i ogólnoakademickich zasiadaliśmy zawsze przy wspólnym stole, znajdując wspólny język rozmowy. Często kogoś przy nim brakowało, lecz wkrótce wracał. Dbaliśmy o dobry obyczaj, ograniczając często naszą wolność indywidualną różnych grup na rzecz wyższych kryteriów postępowania. Realizowaliśmy już wówczas zasadę tak pięknie i plastycznie sformułowaną przez Marszałka Śmigłego - Rydza — nowej wolności polskiej — „wolności okiełznanej porządkiem".

Jeżeli z tym hasłem wejdzie „Legion Młodzieży Polskiej" w życie, jeżeli wleje w to hasło treść, jeżeli dumnie, nie po doktrynersku, lecz tym mocniej wpajać będzie w swe szeregi ideę budowy Polski sprawiedliwej społecznie, jeżeli kultywować będzie nieśmiertelne tradycje rycerskie, wskrzeszone przez Józefa Piłsudskiego, jeśli o hasła słuszne przez siebie walczyć będzie odważnie z właściwym młodym pokoleniom dynamizmem i temperamentem, spełni tak samo znakomicie swą rolę ideowo-wychowawczą, jak spełniły ją niepodległościowe organizacje akademickie pokolenia, do którego należę. Wiem, że tak pojęta organizacja przeobrazi z czasem oblicze całej młodzieży polskiej, w którym — obok cech najszlachetniejszych i porywów najpiękniejszych — rysuje się wciąż zbyt wiele pozostałości bezpowrotnie minionych sporów partyjnych sięgających nawet w czasy lat 80 czy 90-tych minionego stulecia.

Żeby celowo tworzyć nowe życie, trzeba się raz wreszcie od tych sporów oderwać, tak, jak trzeba odważnie zerwać z pokutującym w nas wielostronnym doktrynerstwem dawno minionych epok i czasów.

Czasy, w których żyjemy i żyć będziemy, z tymi minionymi epokami nic wspólnego nie mają. Może mają w sobie coś brutalnego, twardego, na co wstrząsa się człowiek minionej epoki, wychowany w hasłach integralnego liberalizmu. Czasy te bowiem są owocem wielkiego wstrząsu wojennego, którego skutki okazały się znacznie brzemienniejsze, niż to wydawało się po wojnie zwycięskim reformatorom dawnego porządku rzeczy. Zdawało im się, że wstrząs wojenny niejako uszlachetni i pogłębi wartość zasad i doktryn, w których kręgu żyła ludzkość od rewolucji francuskiej. Tymczasem wstrząs wojenny nad tymi doktrynami i zasadami przeszedł do porządku dziennego.

Naród polski musi zdawać sobie sprawę z tej twardej rzeczywistości nowych czasów. Musi — żeby istnieć i rozwijać się — czujnie dotrzymywać tempa biegowi dziejowych wypadków i przeobrażeń, musi po męsku wyzbywać się całego balastu zakorzenionego w nas, niestety, ckliwego sentymentalizmu, stawiając czoło piętrzącym się przed nami trudnościom, musi wreszcie przeorać w sobie psychiczne kompleksy aspołeczne i agospodarcze, ażeby przekształcić nas w zdrową, nowoczesną, wewnętrzną demokrację.

Koledzy! Do pracy w tym duchu wzywam was, jako przedstawiciel Związku Seniorów Organizacji Młodzieży Narodowej i Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej.

Zbigniew Domaniewski

Aksjomat, który trzeba obalić

Wielkie mocarstwa europejskie starają się narzucić światu wiarę w pewien domniemany aksjomat. W kołach politycznych Zachodu zalicza się ochoczo państwa położone na zachód i na wschód od Niemiec i Włoch do dwóch odrębnych kategorii, jak by do dwóch odrębnych klas społeczności międzynarodowej i usiłuje się nadać temu rozróżnieniu znaczenie politycznego aksjomatu.

Genezą tej gry jest dopatrywanie się całkowicie niewspółmiernego stopnia stabilizacji stosunków politycznych w obu wskazanych wyżej dziedzinach Europy. Mówi się więc, że granice polityczne na Zachodzie są całkowicie ustalone i niedyskutowane. Przeciwstawia się rzekomej zbieżności granic etnicznych i politycznych wielkich mocarstw zachodnich granice państw na Wschodzie, które zostały poprowadzone po większej części przez dziedziny etnograficznie niejednolite. Wielkie mocarstwa, przekonane do głębi o tym, że byt ich i wielkość są niezachwiane, starają się mniej lub więcej głosno utrzymywać w świecie opinię, że państwa na wschód od Niemiec i Włoch opierają swój byt polityczny na niepewnych podstawach i mają tym samym cechy nietrwałości. W szczególności dowodzi się często, że nie ma po co starać się zapewnić nienaruszalność tych państw od zewnątrz, kiedy są one zagrożone przede wszystkim przez niepewność wewnętrznych politycznych warunków bytu.

Reasumując, dochodzi się do wniosku, że na zachód od Niemiec i Włoch nie ma zasadniczych, nie dających się pogodzić rozbieżności pomiędzy sąsiadującymi mocarstwami i małymi państwami, nie ma też elementów niestałości w życiu państw. Natomiast na wschód od Niemiec i Włoch ma się roić od interesów nie do pogodzenia, ziemia ma się chwiać pod nogami. Ponieważ zaś najwyższym celem ludzkości europejskiej jest pokój, więc wielkie mocarstwa powołane są do regulowania i definitywnego utrwalenia stosunków politycznych na wschód od Niemiec i Włoch i tym samym zapewnienia Europie trwałego, jeśli nawet nie wiecznego pokoju. Domniemany aksjomat o odrębnej, powiedzmy, „przynależności klasowej" państw na zachód i na wschód od Niemiec i Włoch jest m. in. podstawą koncepcji paktu czterech.

W rozumowaniach swych zwolennicy tego paktu czterech popełniają — świadomie lub nieświadomie — dwa rodzaje błędów. Pierwszym jest niedostrzeganie w obszarze politycznym na zachód od Niemiec i Włoch istnienia tych samych co na wschodzie czynników, które mogą wpłynąć w pewnym momencie na niestałość stosunków międzynarodowych. Dotyczy to w pierwszym rzędzie zbieżności lub rozbieżności obszarów państwowych z etnograficznymi. Jak to zagadnienie przedstawia się w rzeczywistości na Zachodzie? Weźmy do ręki najnowsze mapy etnograficzne niemieckie i włoskie. Na mapach niemieckich, opracowanych najczęściej metodą punktów, widzimy trzy kategorie punktów, wybiegających gęstym rojem poza granice Rzeszy na zachód. Przedstawiają one „Niemców z własnym rozwojem politycznym", zamieszkujących większą część Szwajcarii, „Niemców z własnym rozwojem politycznym i kulturalnym", stanowiących w myśl tych map prawie całą ludność Alzacji i Lotaryngii, wreszcie Flamandów — z Niemczyzną „spokrewnionych szczepowo, o własnym kulturalnym i politycznym rozwoju", — zamieszkujących Holandię i północną część Belgii. Wszystko to określone sumarycznie jako Niemczyzna; jak widzimy, wbija się ona głęboko w ciało sąsiadujących z Rzeszą państw zachodnich. Na włoskich mapach etnograficznych nie ma tych wszystkich złożonych rozróżnień rodzajów Italszczyzny, lecz roje punktów, przedstawiających skupienia Włochów, wybiegają również daleko na zachód poza granice Imperium. Widać je na południu Francji, na Korsyce, w Tunisie. Gdy więc Anglicy lub Francuzi, nie mówiąc już o Niemcach, zżymają się na istnienie na wschód od Niemiec i Włoch „diabelskiego pasa" etnicznych powikłań, które mają być dynamitem, zagrażającym pokojowi i dobremu trawieniu ludów europejskiego Zachodu, to my ze swej strony wskażemy na inny, niemniej diabelski w możliwych skutkach politycznych pas etnicznych problemów. Ciągnie się on od północnego krańca Holandii do rubieży Tunisu i Libii, obejmuje Holandię, Belgię, Alzację i Lotaryngię, Szwajcarię i południe Francji, Korsykę, Tunis. Między jednym i drugim pasem istnieje przy tym ta różnica, że na Zachodzie etniczne pretensje i rzeczywiste fakty etniczne przekraczają granice państw tylko w jednym kierunku — na zachód, natomiast na wschodzie na ogół istnieje po obu stronach granic politycznych pewna etniczna równowaga, która może być niewątpliwie poważnym czynnikiem statyczności politycznej.

Można oczywiście poddać w wątpliwość obiektywne znaczenie pasa problemów etnicznych, ciągnącego się od Holandii do Tunisu, można nawet zaprzeczać jego obiektywnemu istnieniu. Jednak w żadnym razie nie da się zakwestionować jego znaczenia subiektywnego, a więc rozstrzygającego dla rozwoju polityki zainteresowanych państw i to zarówno subiektywnego znaczenia dzisiejszego, jak i w przyszłości. Leży tu przede mną broszura prof. Romera pt. „Polska — ziemia i państwo", zawierająca kilka szkiców geograficzno-politycznych, które były podstawą wykładów, wygłoszonych w r. 1915. Szkic poświęcony *Mitteleuropie* jako doktrynie politycznej, poucza nas plastycznie, jak geograficzne pojęcie Europy Środkowej kształtowało się w końcu ubiegłego i w początku bieżącego stulecia w pismach najznakomitszych niemieckich geografów całkowicie w rytmie rozwoju terytorialnych zamierzeń niemieckiej polityki zagranicznej. Okazuje się, że w roku 1914, w którym wojska niemieckie zajęły Belgię, pewien lingwista niemiecki podjął się przypomnienia następującej tezy: „wszystko, co nazywamy dziś Belgią i Północną Francją, jest to stara ziemia Niemczyzny *(„ein alter deutscher Volksboden")*". Zmienne były i są nadal w niemieckim piśmiennictwie geograficznym koleje losu doktryny Europy Środkowej. Polityka roku 1914 ożywiła Belgię i Północ Francji jako pożądane człony Mitteleuropy; Alzacja i Lotaryngia wtedy do niej nawet politycznie należały. Dziś polityka niemiecka oficjalnie rezygnuje z rewindykowania tych obszarów, lecz wzamian za to działa gdzieindziej. Agitacja narodowo - socjalistyczna w Szwajcarii, w terenie *„Niemczyzny z własnym rozwojem politycznym"*, dokłada wielkich starań, aby to *„sobiepaństwo"*, w stosunku do całości wielkiego narodu niemieckiego *„przestępcze"*, jak najprędzej się skończyło. Nie bez poważnych przyczyn rząd federalny Szwajcarii wydaje nowe dekrety i mobilizuje administrację polityczną dla przeciwdziałania tej propagandzie! Trudno byłoby oczywiście rozbudzić w duszy Flamandów to, co Niemcy usiłują rozbudzić w duszy swych szwajcarskich pobratymców. Lecz czyż nie można rozbudzić każdego dnia fikcji ciążenia Flamandów ku Rzeszy w duszy inspiratorów i kierowników niemieckiej polityki zagranicznej i poprzeć tę fikcję siłą armii niemieckiej, jak to było z aktywizmem flamandzkim w Belgii w latach wielkiej wojny? Jak łatwo problemy etnografii i geografii narodowościowej Zachodu mogą stać się problemami polityki zagranicznej, tego dowodzą najplastyczniej okrzyki: Nicea! Korsyka! Tunis! które rozległy się we włoskiej Izbie deputowanych

i na ulicach Rzymu 30 listopada b. r. w dniu, w którym minister spraw zagranicznych Włoch mówił o stosunkach między Włochami i Francją. Okrzyki te powinny rozwiać na Zachodzie mit o nieistnieniu w stosunkach sąsiedzkich mocarstw i mniejszych państw zachodnich drażliwych zagadnień etnicznych i narodowościowych, wykazując jak łatwo również i na zachodzie Europy z faktycznych czy fizycznych problemów etnicznych i narodowościowych uczynić palącą rzeczywistość polityczną.

Przeciwstawia się tak samo w pewnych politycznych kołach Zachodu domniemaną trwałość podstaw potęgi mocarstw zachodnich niepewności, mającej charakteryzować polityczny byt państw na wschód od Niemiec i Włoch. W Anglii rozlegają się na przykład głosy, że obecne znaczenie mocarstwowe Polski opiera się na dziejowych owocach Unii lubelskiej i ekspansji na Południowy Wschód, spuściźnie, której znaczenie ma być wobec dzisiejszych prądów politycznych iluzoryczne. Lecz na czym opiera się dzisiejsze mocarstwowe znaczenie Wielkiej Brytanii? Na owocach XIX stulecia, stulecia imperializmu kolonialnego, którego spuścizna jest w brytyjskim świecie bez porównania bliżej dotknięta przez kierunek współczesnych prądów i wydarzeń politycznych niż np. wschodnie kresy Polski. Potęga polityczna i gospodarcza, wśród której zastał Anglię początek obecnego stulecia, opierały się na opanowaniu przez nią politycznie i gospodarczo połowy kuli ziemskiej. Rezultaty wielkiej wojny powiększyły obszar politycznych zdobyczy Wielkiej Brytanii, lecz zniszczyły w znacznej części jej światowe zdobycze gospodarcze. W ciągu minionych ostatnich kilkunastu lat zapomnieliśmy o wstrząsach gospodarczych i politycznych w Anglii, o buncie wśród załóg floty wojennej, o narastających milionowych masach bezrobotnych i ich marszu na Londyn. To były p i e r w s z e wstrząsy, spowodowane załamaniem się brytyjskiej części światowo-gospodarczego spadku, jaki Europa otrzymała po XIX stuleciu, wieku jej światowej hegemonii. Były to m. in. pierwsze widoczne na powierzchni życia społecznego Wielkiej Brytanii następstwa klęski gospodarczej, którą zadały angielskim fabrykom włókienniczym w hrabstwie Lancashire japońskie fabryki włókiennicze w Osaka. Gospodarczo ta klęska dokonała się w zapleczach wielkich oceanów, na rynkach zbytu w Chinach, w Malajach, w Indiach, w Afryce; politycznie i społecznie dokonała się na terenie Starej Anglii. Trzeba mieć żywo w świadomości, że ludność Anglii tylko w fizycznym znaczeniu żyje na wyspach Brytyjskich. W znaczeniu gospodarczym żyje ona również w zapleczach mórz i oceanów, dokąd wędrują wytwory angielskiego przemysłu. Otóż te morza i oceany zrzucają z siebie jedno za drugim brytyjskie panowanie gospodarcze, a tym samym wyrywają grunt spod nóg 47 milionów ludności dumnej i władczej Anglii. Któż będzie miał odwagę twierdzić, że ten proces detronizacji Europy i tym samym Anglii w świecie jest tylko przejściowy? Przyszłość Anglii jako wielkiego mocarstwa jest t r w a l e zagrożona przez kierunek współczesnych światowych prądów i wydarzeń politycznych. To zagrożenie jest dla Anglii bez wątpienia głębokim i tragicznym problemem przyszłości; jest czymś bodajże zupełnie niewspółmiernym z kłopotami, jakie Polska ma od czasu do czasu z powodu wichrzeń pewnych czynników na terenie województw południowo-wschodnich.

Podobnie jak Anglia również i Francja jest poważnie zagrożona w swym bycie wielkiego mocarstwa przez emancypację społeczności pozaeuropejskich. W poprzednim numerze „Narodu i Państwa" w Notatniku Zagranicznym podaliśmy parę cyfr, uwidaczniających, w jak wielkim stopniu gospodarcze straty, ponoszone przez Francję skutkiem ewolucji politycznej i gospodarczej, odbywającej się w krajach zamorskich, pogłębiają jej kryzys wewnętrzny. Jednak we Francji występuje na pierwszy plan w tej dziedzinie zagadnień inny czynnik, niż w Wielkiej Brytanii, mianowicie dekadencja ludnościowa. W imperium Wielkiej Brytanii żyją młode i płodne społeczeństwa brytyjskie, imperium to jest w części istotnie b r y t y j s k i m. Ta jego część nie jest od zewnątrz zagrożona; pomijam tutaj niebezpieczeństwa zewnętrzne. Natomiast imperium francuskie jest niemal w całości imperium k o l o r o w y m, jego wewnętrzne bezpieczeństwo opiera się na bierności ras kolorowych, miejscami na bagnetach francuskiej armii kolonialnej. Władając drugim co do wielkości imperium kolonialnym, Francja nie inwestuje w nim poważnych żywych kapitałów — białej ludności, nie przyczynia się do zrównoważenia szybkiego rozrostu ludów kolorowych. Francja postawiła się przez swą dekadencję ludnościową przed ewentualnością samoczynnej utraty pozycji zajmowanej w Afryce. Czy to więc od strony gospodarczej, czy od strony biologicznej, przyszłość wielkich imperiów kolonialnych jest poważnie zagrożona. Dotyczy to również małych państw kolonialnych. położonych na zachód od Niemiec — Belgii i Holandii, których pozycja w koloniach jest funkcją pozycji Francji i Anglii. Jakiż kontrast perspektywicznych przyszłości opartych o własną ziemię, prężnych demograficznie i pełnych życiowej siły narodów Europy Środkowo-Wschodniej.

Przejdźmy z kolei do drugiego zakresu świadomych lub nieświadomych błędów w dyskryminacyjnych rozumowaniach mocarstw zachodnich w sprawach państw położonych na wschód od Niemiec i Włoch.

W państwach tych mamy do czynienia w pewnych obszarach z bijącą w oczy z map plątaniną życiowych sytuacyj narodów związanych z z i e m i ą. Popełnia się jednak zasadniczy błąd, kiedy się przypisuje tej mozajce etnicznej, jako czynnikowi politycznego niepokoju, większe znaczenie niż r ó w n i e w i e l o b a r w n e j mozajce w układzie i n n y c h elementów konstytucyjnych państw zachodnich. Na zachód od osi Berlin-Rzym istnieje nie mniejsza niż na Wschodzie plątanina sytuacyj życiowych, komunikacyjnych na m o r z u. Różnica tkwi nie w politycznym z n a c z e n i u, lecz w geograficznej i socjologicznej p o s t a c i problemów państwowych po obu stronach „osi". Zagadnienie sprowadza się w gruncie rzeczy do pytania, czym jest t. zw. „przestrzeń życia" państw i narodów? Pytanie które postawione zostało w całej swej ostrości nie tylko przez Niemcy na Wschodzie, lecz również przez Włochy i Anglię w świecie śródziemnomorskim.

Powracamy tutaj do sprawy, którą poruszaliśmy w „Narodzie i Państwie" 24 stycznia 1937 roku, komentując starcie się młodego imperializmu włoskiego ze śródziemnomorskimi pozycjami Anglii. Dla Włoch Morze Śródziemne jest przede wszystkim obszarem, w którym pragną one umieścić nadmiar ludności rolniczej. Dla Anglii jest ono drogą, którą podążają na zamorskie rynki zbytu produkty pracy nadmiaru ludności, zdobywającej chleb na miejscu w Anglii i pracującej w przemyśle eksportowym. „Morze Śródziemne jest moje, bo ja w tym obszarze sieję i zbieram, bo ja tu stale m i e s z k a m, a Ty tylko przewozisz towary drogą, prowadzącą przez moje włości" — probował tłomaczyć Albionowi Mussolini. Lecz Morze Śródziemne nie jest dla Anglii t y l k o drogą. Obszar produkcji — Anglia — i rynki zbytu — Afryka, Azja, Austrialia — tworzą wraz z łączącą je drogą śródziemnomorską organiczną życiową całość. Arterie tej całości nie mogą być przez nikogo przywłaszczone. Według tego stanowiska na morzu wszyscy jednakowo mogą żyć i działać, jako że jest ono m a r e l i b e r u m. Dla Anglii, jako państwa przemysłowo-handlowego, droga wiodąca przez Morze Śródziemne na rynki Wschodu jest taką samą naturalną p r z e s t r z e n i ą ż y c i a, jak pola uprawne u wybrzeży tego morza dla Włoch, państwa o nadmiarze ludności rolniczej. Między jednym i drugim zachodzi w gruncie rzeczy tylko ta różnica, że Włosi są mieszkańcami wybrzeży, natomiast Anglicy są niejako mieszkańcami śródziemnomorskich dróg z ich strategiczną armaturą.. Zagadnienie to nie ogranicza się oczywiście do Anglii i Włoch oraz Morza Śródziemnego; jest to zagadnienie uniwersalne, które strategowie ujmują, definiując morze jako s i e ć d r ó g h a n d l o w y c h. Drogi te są żywotnymi elementami wszystkich państw o rozwiniętym handlu zamorskim. Są elementami równie żywotnymi jak ludność i terytorium.

Otóż patrząc na morza, oblewające wybrzeża państw położonych na zachód od Niemiec i Włoch, spostrzegamy, że ma tutaj miejsce takie samo splątanie morsko-komunikacyjnych strukturalnych elementów państw, jak w państwach położonych na wschód od mocarstw osiowych poplątanie strukturalnych elementów ludzkich, narodowościowych. Można co prawda utrzymywać, że ziemia, na której ludzie mieszkają, podlega władzy suwerennej, a morze, na którym ludzie działają, jest wolne. Lecz floty wojenne mogą w każdej chwili uczy-

nić z wolnego morza mare clausum i podciąć w ten sposób morskie arterie handlowe przeciwnika. Stąd dążenie każdego państwa do strategicznego opanowania własnych, lub politycznego opanowania cudzych grup narodowościowych. Jeśli więc ktoś dopatruje się w narodowościowej mozajce niektórych dziedzin Wschodu czynników niepokoju, a nie dostrzega tych czynników w równej mierze w mozajce morsko-komunikacyjnych elementów strukturalnych państw Zachodu, ten albo kieruje się złą wolą, albo nie nauczył się wyciągać politycznych wniosków z map realnych dróg morskich tak, jak wyciąga je ze sfałszowanych często map narodowościowych. Kto wytyka strukturze Polski splątanie w niektórych jej stronach elementów polskich i ruskich, ten niech sobie przypomni skrzyżowanie w kanale Suezkim imperialnych szlaków brytyjskiego i włoskiego. Kto mówi, że granice Polski obejmują przestrzeń życia grup etnicznych odrębnych od polskości, ten niech sobie uświadomi, że Anglia i Francja panują strategicznie, a tym samym i politycznie, nad częścią morskiej przestrzeni życia niemieckiego handlu zagranicznego. Takich przykładów można przytoczyć wiele, a wszystkie świadczą o istnieniu na Zachodzie nie mniej licznych i szerokich, choć innych płaszczyzn tarcia niż na Wschodzie, uzupełniających zresztą tylko dla Zachodu tamtejsze płaszczyzny tarć etnicznych i narodowościowych.

Twierdzenie, że stosunki międzynarodowe w obszarach położonych na wschód i na zachód od Niemiec i Włoch zaliczają się do dwóch odrębnych kategoryj stateczności politycznej, twierdzenie chętnie rozpowszechniane na Zachodzie, jest całkowicie gołosłowne, więcej — jest fałszywe. Na Zachodzie i na Wschodzie ma miejsce tak samo gęste splątanie strukturalnych elementów państw, istnieją jednakowo ważne rozbieżności trudnych do pogodzenia interesów, jednakowo ważne przyczyny niestałości niektórych stron obecnego układu geopolitycznego. Dowodzenie, że na wschód od Niemiec i Włoch leżą ogniska, zagrażające pokojowi Europy, a na zachód od tych państw znajdują się tylko rozbieżności, dające się łatwo pogodzić, wyrażają jedynie życzenie gaszenia zapalnych ognisk Zachodu kosztem interesów państw Wschodu. Dowodzenia te, błędne w swej istocie, nieuczciwe w swych pobudkach, w działaniu szkodliwe — dla dobrze zrozumiałego dobra całej Europy, powinny być przez Polskę na każdym terenie systematycznie i planowo obalane.

Wniosek ten jest negatywny. Należy jednak unikać wniosków nagatywnych, jeśli nie towarzyszą im wnioski pozytywne. Wniosek pozytywny, który można wysnuć z naszych rozważań, jest natury porównawczej. Przekonaliśmy się, że na zachód i na wschód od Niemiec i Włoch istnieje jednakowe splątanie elementów i czynników politycznych, działających w przeciwnych kierunkach. Mocarstwa zachodnie, mimo głębokiej rozbieżności swych interesów, nie tracą nadziei na dojście do trwałego porozumienia. W takim razie my ze swej strony prowadźmy dalej z niesłabnącą nadzieją dzieło tworzenia bloku państw istotnie wolnych i niezależnych, położonych na wschód od totalnej „osi".



Wiktor Ormicki

Polska polityka ludnościowa*)

Drugim wielkim zagadnieniem polskiej polityki ludnościowej jest *sprawa poprawy jakościowej materiału ludzkiego*, zarówno pod względem fizycznym, jak i intelektualno-oświatowym. Poprawa jakości pod względem fizycznym wymaga szeregu zarządzeń prewencyjnych, organizacyjnych i pozytywnych z zakresu eugeniki, reformy prawa małżeńskiego, poradnictwa przedślubnego, małżeńskiego, macierzyńskiego i dziecięcego. Do tego dodać należy troskę o żywy materiał ludzki, skłaniającą do szerzenia wiedzy kulinarnej, organizowania akcji dożywiania, wychowania fizycznego i wczasów, rozwinięcia na wielką skalę profilaktyki społecznej i szpitalnictwa, jako też wdrożenie zasadniczej działalności na polu unowocześnienia osadnictwa miejskiego i wiejskiego, wprowadzenia współczesnych urządzeń cywilizacyjnych (wodociągi, kanalizacja, elektryfikacja) i uruchomienia budownictwa mieszkaniowego.

Intelektualno-oświatowa poprawa jakości materiału ludzkiego nie jest do przeprowadzenia bez zasadniczego uregulowania problemu oświaty powszechnej. Poza tym nauczanie wymaga reorganizacji w sensie praktycznego przygotowania do życia. W wychowaniu dziewcząt powinny być bezwzględnie akcentowane momenty macierzyńskie i domowo-gospodarcze. Umiejętność obchodzenia się z niemowlęciem i pewne minimum wiadomości z zakresu higieny i wychowawstwa winny stanowić warunek zawarcia małżeństwa. Zadania intelektualno-oświatowe wymagają uruchomienia burs przy szkołach wyżej usystemizowanych, ostrzejszej selekcji młodzieży i t. d., a przede wszystkim wychowania i wykształcenia nowego typu nauczyciela szkoły powszechnej o gruntownym i bogatym przygotowaniu zawodowym. Poważne znaczenie przypisać należy *racjonalnej polityce płac*, jako jednemu z najważniejszych czynników celowego rozmieszczenia inteligencji pracującej i wolnych zawodów.

Realizacja jakościowej poprawy materiału ludzkiego pozostaje w ścisłym związku:

1) z ustawodawczym uregulowaniem całokształtu problemu wyrównania ciężarów rodzinnych,

2) z rozwiązaniem ustawodawczym zagadnień eugenicznych, jako też właściwego rozmieszczenia instytucji, zakładów i urządzeń publiczno-społecznych (np. żłobki, punkty dożywiania, szkoły, boiska, strzelnice i t. p.), oraz publicznej służby, zarówno oświatowo-kulturalnej, jak sanitarno-zdrowotnej, wreszcie

3) z podniesieniem ogólnego standardu życia, do czego powołana jest przede wszystkim oświata i racjonalna polityka inwestycyjna.

Konkludując, stwierdzić należy, iż *Polska winna prowadzić politykę intensywnego popierania rozrodu jakościowego i jakościowej poprawy materiału ludzkiego.*

*

Problemem pierwszorzędnej wagi z punktu widzenia państwowego jest *odpowiednie rozmieszczenie ludności.* Zagadnienie to zahacza o dziedzinę osadnictwa wewnętrznego i łączy się z polityką parcelacyjno-melioracyjną, gdy idzie o osadnictwo rolnicze, z komunalną w zakresie osadnictwa kupieckiego, rzemieślniczego i zawodów wolnych, oraz z przemysłowo-inwestycyjną odnośnie lokalizacji elementu robotniczego. Prawidłowe rozmieszczenie ludności możliwe jest jedynie w oparciu o szczegółową znajomość:

1) geograficznego występowania obszarów współcześnie przeludnionych i niedoludnionych,

2) obszarów, objętych planami parcelacji i melioracji, jako też uprzemysłowienia i urbanizacji, oraz ich wartości osadniczej,

3) terytorialnej kolejności i rodzaju osadnictwa (pojętego zawodowo: rolnicze, handlowe i t. d.),

*) Dokończenie z N-ru 45—46.

4) pojemności ludnościowej terenów wymienionych pod 2 i 3 celem ustalenia nadwyżki nieobjętej lokalnym planem osadniczym, jako podstawowego warunku dla jasnego skrystalizowania,

5) potrzeb emigracyjnych w ujęciu terytorialnym i ilościowym.

Prowadzenie celowej polityki rozmieszczenia ludności na obszarze państwa nie wydaje się możliwe bez starannie przemyślanego planu osadnictwa wewnętrznego i bez doskonałej znajomości gospodarczego zła przesunięć ludności. Tylko w takim wypadku można myśleć o nadaniu wzmiankowanym procesom pożądengo kierunku oraz o stwarzaniu warunków sprzyjających petryfikacji osiągniętych rezultatów.

Instrumentem ogromnej doniosłości jest tu *polityka inwestycyjna* (w najszerszym tego słowa znaczeniu), rozumiana jako ścisłe i rygorystyczne dostosowanie zamierzeń gospodarczych do celów polityki ludnościowej, a zatem roztropny wybór terenów inwestycyjnych, ustalenie planu i kierunku inwestycji, wystarczający podział środków pieniężnych, odpowiednia polityka ulg podatkowych i t. d.

*

Znaczenie nauki dla polskiej polityki ludnościowej. Jak to już wzmiankowano, polityka ludnościowa musi się opierać o wszechstronną znajomość stosunków ludnościowych i gospodarczych, jako też zdawać sobie jasno i w sposób przewidujący sprawę ze wzajemnej zależności między nimi.

Wchodzą tu w rachubę badania *wewnętrzne*, prowadzone na obszarze państwa i *zagraniczne*, obejmujące tereny dzisiejszej *lub zamierzonej emigracji*[12]). W obu wypadkach zasadnicze znaczenie przypisać należy przedstawieniu istniejącego stanu rzeczy oraz zarysowaniu możliwości rozwojowych w oparciu z jednej strony o warunki naturalne, z drugiej — o ocenę pojemności ludnościowej.

Tak sformułowane wyniki mogłyby — po konfrontacji z państwowym planem gospodarczym — stanowić punkt wyjścia dla wdrożenia celowej i głębiej umotywowanej akcji, już to realizacyjnej, już też korygującej wcześniej ustalone poglądy.

Szczegółowy, aczkolwiek niewyczerpujący, *program badań* podstawowych w zakresie stosunków demograficznych i gospodarczych, naszkicowany w roku 1936[13]), zachowuje nadal znaczenie. Tutaj wypada jedynie zaznaczyć, że badania winny schodzić do najniższych jednostek terytorialnych, ażeby niezależnie od ujęcia geograficznego, uwydatniającego takie lub inne rozmieszczenie i uwarunkowanie badanych zjawisk i procesów, można było prawidła uchwycić statystycznie. Nie od rzeczy będzie przypomnieć, że wiele robót badawczych zostało w międzyczasie podjętych przez różne instytucje, zakłady i urzędy, które ograniczyły jednakowoż zakres wdrożonych badań do interesujących je kwestii. W związku z tym istnieje możliwość łatwego nawiązania do istniejących już częściowo opracowań, a tym samym szybszego osiągnięcia wyników syntetycznych. Z drugiej jednak strony istnieje cały szereg zagadnień i problemów, które nigdy jeszcze przez nikogo nie były w Polsce szczegółowo rozpatrywane w skali ogólno-państwowej, ale w oparciu o najniższe jednostki administracji terytorialnej[14]).

Do konspektu badań, zestawionego we wzmiankowanej broszurze z roku 1936, można dorzucić przykładowo, a więc bez zamiaru wyczerpującego potraktowania sprawy, kilka uwag, mających na celu zaakcentowanie najaktualniejszych problemów ostatnich kilku miesięcy. W szczególności idzie o te badania z zakresu demografii i gospodarstwa społecznego, bez których nie istnieje możliwość przewidywania, korelowania i planowego działania.

I tak nieodzownym jest sporządzenie i opracowanie *tablic wymieralności według wyznań i zawodów* po ukazaniu się ostatnio tablic wymieraności ogólnej z podziałem według płci i miejsca zamieszkania. Kombinacja zawodowo-wyznaniowa staje się coraz gwałtowniej potrzebna, a przecież nie wolno zapominać, że bez szczegółowych i uwspółcześnionych tablic wymieralności iluzorycznymi stają się wszelkie obliczenia kontyngentów młodzieżowych, rekruckich, liczebności mężczyzn w wieku zdatnym do służby wojskowej, kobiet w wieku rozrodczym i t. d.

Rezultaty, do których doszedł *S. Fogelson*[15]) przy szczegółowych badaniach demografii Polesia i Wołynia, przemawiają za wdrożeniem analogicznych studiów w zakresie ślubności, rodności, płodności i t. d. w sposób równie szczegółowy i na innych obszarach.

W zakresie badań nad rzeczywistym ruchem ludności potrzebne jest energiczne wystąpienie w celu wyzyskania olbrzymich *materiałów meldunkowych*, pochłaniających masę wysiłku i zatrudniających armię urzędników a pozostawionych kompletnie odłogiem z ogromną szkodą dla życia codziennego, gospodarstwa, administracji i nauki. Należało by dążyć do regularnego publikowania co kwartał dat ruchu rzeczywistego według powiatów przy zachowaniu podziału na wieś i poszczególne miasta, przy uwzględnieniu płci, zawodu i wyznania. Znajomość tych dat jest nieodzowna przy zewnętrznym planowaniu i szacowaniu zapotrzebowania aprowizacyjnego na szczeblu wojewódzkim.

Z zagadnieniem rzeczywistego ruchu ludności łączy się *rozwinięcie statystyki reemigracji*, prowadzonej wciąż jeszcze dla całego państwa globalnie, co utrudnia, a nawet uniemożliwia, prawidłową ocenę wewnętrznych przesunięć ludności.

Ubocznie niejako należy zaakcentować potrzebę studiów nad pochodzeniem ludności większych miast, dalej — nad obszarami macierzystymi służby domowej oraz nad rozmieszczeniem i kierunkami, jakoteż długotrwałością wędrówek wewnętrznych sezonowych robotników rolnych, rekrutujących się spośród małorolnego i bezrolnego proletariatu wiejskiego.

Jako następny kompleks zagadnień związanych ze strukturą ludnościową wysuwa się sprawa wprowadzenia takich zmian w arkuszach spisowych na rok 1941, które by pozwoliły na analizę *rodziny*. Także domaga się rewizji *sposób raportowania o urodzeniach*. Byłoby bowiem rzeczą wielkiej doniosłości wiedzieć, z którym z kolei urodzeniem w danej rodzinie ma się do czynienia, w jakim wieku są rodzice (zwłaszcza matka) i na który rok pożycia małżeńskiego przypada każdy poszczególny wypadek urodzenia. Materiał ten winien być prowadzony przy zachowaniu podziału wyznaniowego, według miejsca zamieszkania i — o ile to możliwe — zawodu.

Najzupełniej odrębną grupę problemów reprezentują *sprawy aprowizacyjne*. Niemniej nie zanalizowano ich dotąd od strony rzeczywistej konsumcji[16]). Zbędnym wydaje się podkreślanie doniosłości tych właśnie badań, jako zapewniających wgląd w faktyczne kształtowanie się spożycia. Waga tego materiału, nadającego się do zestawienia z wynikami produkcji, możliwościami i wysokościami zarobków, jako też z rezultatami rekrutacji wojskowej jest oczywista.

Nawiązując do spraw fizycznych jakości materiału ludzkiego, wskazane byłoby wypracowanie łatwo rok rocznie dającego się obliczyć *wskaźnika stanu ekonomicznego według powiatów*.

Z innej dziedziny, mianowicie z zakresu osadnictwa wewnętrznego, wskazać można na palącą potrzebę *inwentaryzacji całkowitego zapasu ziemi*, bez czego nie ma mowy o planie osadniczym. Podobnie brak opracowań bonitacji gleb, a i stanu pedologicznego, nie może być uważany za zadawalający.

---

[12]) Sprawa emigracji przedstawia w ramach polityki samoistny problem, do którego można się bardzo rozmaicie ustosunkować.

[13]) *W. Ormicki* — W sprawie naukowych podstaw polskiej polityki ludnościowej — „Życie świadome", 1936, Nr. 1—3.

[14]) O jednej takiej pracy, omawiającej *uprawę żyta* a wykonanej gminami dla całej Polski w oparciu o serię trzyletnią, wiem. Wykonał ją *dr. A. Wrzosek* w ramach *Antropogeograficznego Atlasu Polski*, zamierzonego przez prof. dr. B. Zaborskiego, a nie realizowanego z powodu braku pieniędzy. Zaniechanie wydawnictwa *A. A. P.* uważam i ze względów naukowych i z punktu widzenia najszerzej pojętych potrzeb polityki państwa za wielki błąd, przy czym zaznaczam, że inicjator i redaktor zrobił wszystko co było w Jego mocy, by potrzebę proponowanego wydawnictwa umotywować i uzasadnić.

[15]) *S. Fogelson* — Ruch naturalny ludności na Polesiu. Sprawy Narodowościowe 1936. Nr. 4—5.

[16]) Wyjątek stanowią drobne publikacje regionalne, niektóre opracowania Wydz. Ekonomiki Drobnych Gospodarstw Inst. Puławskiego, oparte na innych podstawach i stare dochodzenia G. U. S. oparte na budżetach rodzinnych.

Potrzeba naukowego ośrodka dyspozycyjnego. Jak z powyższego przeglądu wynika, zakres zainteresowań polityki ludnościowej jest bardzo szeroki, a systematycznych badań, obejmujących cały obszar ziem polskich według jednej metody, w oparciu o lokalizację zjawisk lub najmniejsze jednostki administracji terytorialnej, brak nieomal zupełnie, nie mówiąc już o tym, że życie wysuwa wciąż coraz to nowe problemy i zagadnienia.

Trzeba przy tym podkreślić, że prace związane z naukowym oświetleniem problemu ludnościowego są przedsięwzięciem obliczonym na dłuższą metę, kosztownym i wymagają planowej realizacji. Ich przegląd i ewidencja winny spocząć w ręku jednej instytucji czy organizacji, powołanej do uzgodnienia wyników świata naukowego, koordynowania robót, prowadzonych w różnych ośrodkach badawczych, ustalania hierarchii i kolejności pożądanych poszukiwań i dochodzeń naukowych, jako też zdobywania i rozdziału śroków finansowych. Wzmiankowana instytucja byłaby więc ośrodkiem, skupiającym i racjonalizującym pracę badawczą, a jej naczelne zadanie polegałoby na systematyzowaniu wyników, napływających stopniowo z rozmaitych warsztatów pracy naukowo-badawczej.

Potrzeba powołania do życia tego rodzaju organizacji zdaje się nie wymagać dalszego uzasadnienia. Dotychczasowe doświadczenia wskazują, że nauka polska wiele ze wzmiankowanych problemów i zagadnień podjęła samorzutnie z dużym nakładem bezinteresownej pracy i subtelnej inwencji badawczej. W wielu dziedzinach osiągnięto też znakomite wyniki. Uzgodnienie tych wyników, jako też sharmonizowanie badań, staje się w coraz wyższym stopniu koniecznością państwową, ponieważ *polityka ludnościowa* musi znaleźć oparcie o naukowo nienaganny fundament obiektywnej oceny rozgrywających się zjawisk i toczących się procesów [17]).

[17]) *W. Ormicki* — l. c. str. 7.

Potrzeba ośrodka koordynacji. Niemniej konieczne staje się powołanie do życia ośrodka *gestii programowej*, którego zadaniem byłoby opiniowanie każdego działania przedsiębranego w państwie z punktu widzenia ludnościowego. Anomalia wzajemnego paraliżowania swych wysiłków przez resorty, działające na własną rękę i w zamiarze realizacji własnych, często ciasno pojmowanych celów, musi być usunięta w możliwie najkrótszym czasie i bez reszty. Cele poszczególnych resortów nie mogą pozostawać w kolizji z naczelnym celem państwowym, dla którego musi się wywalczyć nadrzędność.

Drugim zadaniem ośrodka jest niewątpliwie sformułowanie ogólnopaństwowych wytycznych dla polityki ludnościowej, czego potrzebę starano się uzasadnić. Poza tym wolno żywić nadzieję, że zakres agend ośrodka skrystalizuje się w ogniu praktycznej działalności.

Ośrodek gestii politycznej w sprawach ludnościowych winien pozostać przy Prezydium Rady Ministrów, co automatycznie zapewniłoby mu nadrzędność i umożliwiło działalność w przewidzianych wyżej wypadkach.

Centralizacja wszelkich poczynań i dążeń ludnościowych na gruncie ośrodka miałaby także doniosłe znaczenie naukowe, umożliwiając kierownictwu ośrodka występowanie z systematyczną inicjatywą badawczą pod adresem ośrodka dyspozycji naukowej, powołanego do dostosowania rozpatrzonych i przygotowanych elementów, niezbędnych dla powzięcia jakiejkolwiek praktycznej decyzji.

W ten sposób stworzyć by można precyzyjny instrument dalekowzrocznej polityki ludnościowej, składający się z dwóch członów: naukowego i administracyjno-politycznego, dający w granicach ludzkiej możliwości maksimum gwarancji, że wszystkie zamierzenia dotyczące zagadnień ludnościowych podejmowane będą rozważnie i krytycznie, a ich realizacja zostanie przeprowadzona celowo i konsekwentnie.

Melchior Wańkowicz

Nie mów „C. O. P."...

Kiedy pierwszy raz poznałem „COP", jesienią 1937 r. (od tego czasu byłem w COP-ie pięciokrotnie), dałem temu wyraz w felietonach drukowanych w „Narodzie i Państwie" oraz w broszurze pt. „COP". We wstępie do tej broszury powiedziałem, że „pragnę zakredytować Centralnemu Okręgowi Przemysłowemu wiarę" i że uważam za śmieszne „nosić się ze swoim maleńkim dorobkiem literackim, ze swoim literackim nazwiskiem" wtedy, kiedy ludzie budujący Polskę potrzebują pomocy.

Otrzymałem w odpowiedzi na swoje felietony bardzo wiele kąśliwych apostrof. Byli tacy, którzy, wyłapując nieścisłości, uważali za pożyteczne pisać artykuły pod ogromnymi tytułami „Na tropach blagi Melchiora Wańkowicza", inni przestrzegali, że ta broszurka nie jest dziełem ekonomisty, był nawet pewien publicysta, który ogłosił, że wicepremier Kwiatkowski ofiarował dwa miliony na propagandę COP-u, że znana jest moja przedsiębiorczość, a więc...

Duży zaś chór śpiewał na nutę „Nie mów COP, nim nie przeskoczysz..."

Jestem uparty Litwin, więc na zarzuty osobiste odpowiedziałem nową książką o Polsce i jej pracy w ciągu ostatnich lat dwudziestu, a na zarzuty „nie mów hop!..." — pojechałem w dniach 16—19 listopada raz jeszcze do COP-u, aby zobaczyć, czy też istotnie nie na darmo krzyknąłem „hop!" przy pierwszym przedstawieniu COP-u opinii publicznej.

———

Pragnę dać krótkie sprawozdanie z tego COP-u w najnowszej fazie, nie łudząc się bynajmniej, że po tym roku zamknę usta wszystkim. Tego nigdy nie będzie. W misterium dowodzeń ekonomicznych można wyprowadzić każdy postulat. Niedawno słyszałem dowodzenie, że te sumy, któreśmy wpakowali w Gdynię, należało użyć na utwierdzenie się w Gdańsku. Nie brak takich, co mówią po cichutku, tak aby wiwatujący patrioci nie słyszeli, że Zaolzie jest wielkim obciążeniem gospodarczym dla Polski. Wyprawa na Kijów była też „karkołomną imprezą". Postulaty terytorialne w traktacie ryskim, to również miała być niebezpieczna zabawa, skutecznie hamowana. Sądzę, że nie da się pomyśleć w tej wczorajszej, ale jeszcze silnej psychice Polski żadnej imprezy o znaczeniu większym niż kolejka linowa na Kasprowy, która by nie wywołała zastrzeżeń naszych domorosłych statystów.

Na te gadania nie poradzi ani czas, ani rezultaty. Ja osobiście uważam za wielki błąd rycerza Warsza, że założył Warszawę i twierdzę, że stolica w Sandomierzu byłaby więcej na miejscu. I chociaż od tych czasów minęło lat kilkaset, możemy uważać spór za nie rozstrzygnięty.

Rezygnuję więc z góry z rozważań (a co będzie, jak już się naprodukujemy armat? A co będzie, jeśli nie będziemy dekoncentrować przemysłu? A co będzie, jak się skończy pożyczka francuska? A co będzie z ziemiami czynnymi podatkowo? A brekekeks, a ple-pleple...) i po prostu odnotuję, co się robi, jak się dopełnia terminów, czy nie słabnie tempo i zasygnalizuję te nowe obiekty, o których nie pisałem.

A więc, o Szanowni, słuchajcie:

Gazu zużycie wzrosło z 2,8 m³ na min. w ciągu czterech miesięcy na 38,2 m³. Bo też już mamy 314 km rurociągu i odgałęzienia do 17 zakładów.

Drogi, na które tak narzekałem, w

1938 r. kosztowały w COP-ie 14 milionów, gdy w 1937 r. — 5 milionów.

Koleje zwiększyły przelotność 69 stacji i zbudowały 10 nowych dworców.

Melioracji dokonano na obszarze 22 tys. ha, uregulowano 280 km brzegów, zbudowano 28 śluz.

Budownictwo w ciągu tych dwóch lat dało COP-owi dziesięć tysięcy nowych izb, a te nieszczęsne, najbiedniejsze z biednych, miasteczka COP-u wydały na inwestycje 10 milionów.

Bo nieprawdą jest, żeby nie szła w ślad za inicjatywą rządową inicjatywa prywatna. Na terenie COP-u w ciągu tego roku powstało 50 przedsiębiorstw i zakładów przemysłowych. Delegatura Izb Przemysłowo-Handlowych w Sandomierzu przejęła 325 osobistych zgłoszeń kandydatów na inwestorów.

„Prędko się pieśń klei — nie prędko rzecz się dzieje" — ostrzegają w przyśpiewkach rybałci, zaniepokojeni, że słuchacz zblazuje się rychło, wysłuchując o setkach zwycięskich bitew i nie zmierzy wysiłku bohaterów.

Więc rzućmy papierowe cyfry i jedźmy w teren.

Wytwórnia silników w Rzeszowie, ongiś mury tylko — już idzie. Pełni zdumienia stajemy przed cud-obrabiarką, która do dwudziestu kolejnych czynności wypełnia sama, bez pomocy człowieka: jedną stroną wkładają w nią pręt stalowy, drugą wychodzi gotowy produkt. Nabożnie zaglądamy w mikroskopy najprecyzyjniejszych maszyn świata — szwajcarskich. Warkot podniebny tu będzie czerpał precyzję.

Dużo pisałem o sztucznym kauczuku. Teraz więc zwiedzam „Stomil" — polską fabrykę opon.

Probowaliśmy ich fabrykacji w 1925 r. — nie udało się...

Probowaliśmy w 1928 (poważny warsztat, Pepege...) — nie udało się...

Poszliśmy po rozum do głowy, prosiliśmy zagranicę o licencję. Odmawiano...

No to znowu poczęliśmy próby sami i, proszę, akt drugi:

Produkcja polska pokrywa obecnie 70% naszego zapotrzebowania, import obniżył się z 13 na 4 miliony, a za opony obce płacimy loco granica już nie dziewięć i pół złotego za kilogram, jak jeszcze niedawno, a 4 zł 30 gr, chociaż kauczuk na świecie nie staniał, a drożeje.

Akt trzeci:

Las. W lesie zakupiony teren 30 ha. Pierwszego kwietnia 1938 r. rozpoczęto budowę. Teraz — widzimy fronton ćwierćkilometrowy i inne budynki. Widzimy ukończony wodociąg, odpowiadający wodociągowi, obsługującemu 40—50 tysięczne miasto. Już wkrótce i w tej filii poznańskiego „Stomilu" będą wytwarzane opony nie tylko z naturalnego, ale i ze sztucznego kauczuku.

Ze sztucznego? Proszę — oto fabryka w Dębicy. Instytut chemiczny spęczniał w fabrykę, ale ta fabryka też ma minę laboratoryjną: nie huczy, nie zgrzyta, zachowuje chemiczną dostojność i chemiczny smród, nawet w personelu jest arystokratką: pracownicy umysłowi stanowią jedną trzecią personelu.

Na kadziach przemyślnych, przecierach, retortach spęczniałych i jak się to tam zowie ten cały świat duchów pracy zaklętych w maszyny, niby w opowiadaniach Sindbada — tabliczki, znamionujące polską produkcję. Wszystko było dostawione na czas. Natomiast jedyny zagraniczny dostawca spóźnił się o pół roku.

„Ker" będzie tylko dwukrotnie droższy od kauczuku naturalnego, podczas gdy zagranica, produkująca „Bunę" itp. innymi systemami, otrzymuje kauczuk syntetyczny w cenie kilkakrotnie droższej. Wiwat polskie pyry!

W pewnym momencie wysiadamy z autobusów. Czeka nas umajona lokomotywa i lory, na których ustawione są ławki. Pomykamy pięknym i gęstym lasem, odkrywając za każdym zakrętem coraz piękniejsze jego partie. Przywykliśmy, zwiedzając ośrodki przemysłowe, że najprzód poczynają się rude łączki, jakieś postacie, potem lepianki, wreszcie zabrukowane kocimi łbami uliczki. Tu w COP-ie, uważaj, bracie, kiedy się poczyna najgłębszy las i najgłośniej poczynają skrzeczeń sójki: wnet napewno okaże się jakaś fabryka, zatrudniająca dwa tysiące robotników.

Takoż i jest. Jeszcze jeden zakręt leśny — i jesteśmy w Pustkowie pod Dębicą, w państwie „Lignozy", która na Śląsku ma trzy fabryki. Tu będzie wyrabiać materiały wybuchowe i tworzywa sztuczne. „Proszę" — podaje mi objaśniający inżynier papierośnicę, to nasz wyrób".

— Bakelit?

— Powiedzmy: „Silesit", bo bakelit ma swoją licencję. Ale to to samo.

Jestem w domu: właśnie, te masy plastyczne, przyszłość świata... Trochę destylatu z gazu ziemnego (formalina), nieco destylatu z węgla (fenol) i ot, jaka piękna papierośnica...

Ale nad całą fabryką ciąży jej przeznaczenie wybuchowe. Dlatego rozrzucono sto budynków fabrycznych i 35 administracyjnych itp. na obszarze 600 ha. Dlatego osiedle dla pracowników zbudowane jest o kilometr.

Niezapomniany to widok ten kompleks pawilonów fabrycznych, budowanych z cementu w szereg kazamatów, wkopanych w ziemię. Do środka każdego z kazamatów prowadzi korytarz o zgiętym kształcie, aby hamować wybuch Robotnik manipuluje narzędziami przez grubą ścianę żelbetową. Nigdy nie wiadomo, co może spowodować wybuch. W jednej ze śląskich fabryk wszedł do pawilonu majster, zachowując wszelkie ostrożności, włożywszy pantofle filcowe. Długo głowiono się, na skutek czego nastąpiła eksplozja. Okazało się, że ciągnąc pantoflami filcowymi po podłodze pokrytej linoleum, naelektryzował się i wystarczyło, że ręką dotknął materiału wybuchowego, by spowodować katastrofę.

Każda ilość wyrobionego materiału niezwłocznie zostaje odnoszona do małych składów w cemencie, w ziemi. Ci tu ludzie wyglądają jak pracowite mrówy, składające w ziemi zapasy.

Między pawilonami biegnie ogrzewanie wodne. Widzimy właśnie jak cienkie rozwidlenia rurek pęcznieją w izolacjach w odkrytych rowkach; niebawem zostaną przysypane; będzie tego 30 kilometrów rur ogrzewalniczych, będzie 22 km. trasy świetlnej, z czego połowa pod ziemią.

A nad tymi cudami techniki będzie szumiał po dawnemu las, ledwo widnieć będą półprzysypane ziemią pawilony, na które jesienią będzie padać masa zbutwiałych liści.

Poczęto — w marcu 1938 r. W listopadzie tegoż roku wykonano 60% czteroletniego programu.

Wyjeżdżamy wzdłuż ciągnącego się na długie kilometry wysokiego podwójnego płotu; między jedną jego ścianą kolczastą a drugą w szerokim pasie będą biegały złe brytany i wartowali uzbrojeni strażnicy. A w środku będzie stał cichy las, w którym oby się nie rozległ nigdy huk detonacji.

Do tej samej kategorii — groźnych i ponurych zakładów, zawierających w swoim łonie moce piekielne, należy Wytwórnia amunicji w miejscowości Dąb-Majdan.

I znowuż — las.

Taki to już znak czasu,
Że przemysł ucieka do lasu

rymuje z goryczą inżynier, który by zapewne wolał po pracy pójść do kina.

— Kto to sprawił, proszę, powiedz?
— To generał Litwinowicz...
— A kto płaci?
— Rany Boskie! Byrka, Gruber
i Kwiatkowski,

dopowiadamy inżynierowi.

Jest też za co płacić. Tu małe budynki są rozrzucone na terenie 1300 ha! Doprowadzono specjalną bocznicę kolejową, długości 16 km. (jest to część przyszłej linii kolejowej Tarnobrzeg — Rzeszów, przechodzącej przez środek COP-u).

Pracuje tu 2360 robotników i pracowników umysłowych. Już jesienią 1939 roku będzie produkował wydział spłonek, wydział zapalników. Natomiast z wydziałem nabijania granatów materiałami wybuchowymi poczekamy. W ogóle cały ten kolos wśród lasu, to wielkie P. K. U. naszej amunicji na wypadek wojny. Wówczas nastawione na produkcję wojenną zostaną wszystkie najdrobniejsze warsztaty ślusarskie i mechaniczne, tu będzie spływała ich produkcja i tu zostanie montowana.

Jeszcze na pożegnanie stoimy na dachu niskiej, długiej montowni. Ten dach — to raczej taras, niewysoko wznoszący

się nad ziemią. Pokryje go niebawem kobierzec murawy; chwieją się nad nim drzewa.

— Dosyć, żeby mysz ugryzła piorunian rtęci... mruczy jakiś „spec", pogłądając po przyziemnej przysadzistej budowie.

Brrr... ruszamy z miłego lasu.

Za to wytwórnia płatowców w Mielcu, to już inny świat — drewniany i powietrzny. Jak rysy twarzy znamionują charakter, tak budowle fabryczne rodzaj produkcji.

Tu wszystko jest rozdęte powietrzem, zda się, że to nie pawilony fabryczne, a worki, w które Eol wiatr łapie. Jak magazyn—to trzynawowy, jak hala montażowa—to o rozpiętości łuków 60 metrów, jak hangar — to o rozpiętości konstrukcji żelaznej 46 mtr., a jak hala główna—to o przestrzeni 2 ha.

Poczęli budować to wszystko 1 września 1937 r., a jesienią 1939 r. będą wyfruwać pasem startowym 50,000 m² płatowce, które tu rodzić się będą do życia w kokonie tunelu aerodynamicznego.

*

Stara znajoma, stara znajoma... Stalowa Wola!

Pierwszy etap — zając, pomykający między sosnami, wśród których wznoszą baraki.

Drugi etap — na dwóch zlekka obciosanych słupach deska z napisem: „Budowa miasta Stalowa Wola".

Trzeci etap — właśnie oglądamy.

Rozpoczynamy od centrali gazu ziemnego. Gaz ziemny jest bezwonny, na miejscu go więc przede wszystkim „nawaniają"; nie będzie mógł niepostrzeżenie się wydobywać.

Ale nie wszędzie gaz da się użyć. „Stalowa Wola" produkuje stale najpierwszej jakości, a takie można wyrabiać jedynie w piecach elektrycznych, dających wysokie temperatury.

W ogromnym Trzyńcu widziałem taki piec; jest to jedyny piec Zakładów Trzynieckich, na dobitkę nieczynny.

W Stalowej Woli mamy dwa takie piece elektryczne i nadto trzeci tyglowy. Poza tym dwa piece Martinowskie na gazie. Trzyniec ma czternaście pieców Martinowskich, ale bo też Trzyniec ma produkcję stali poślednięj, podstawowej, tego, co potocznie nazywamy żelazem.

Inferno pracy przy takim piecu, wielokrotnie opisywane, które widziałem jeszcze w Trzyńcu, zbliżając się z kolorowym szkiełkiem do buchającej żarem czeluści, w której bulgotało jeziorko płynnego żelaza — już tu należy do przeszłości. Robotnik nadzorujący siedzi niby w loży, wymurowanej oddzielnie i daleko od pieca; loża ma okna z kolorowej szyby; widać przez nią wnętrze pieca wygodnie, ale żar nie dochodzi zupełnie.

Ogromny 15 tonowy dzwon unosi suwnica; pod dzwon (słuchajcie, słuchajcie...) podjeżdża piec; dzwon u dołu jest związany grubą liną, która się natychmiast przepala i 15 tonowy wsad spada do pieca.

— Gdyby te dwa piece były w użyciu całą dobę — mówi wicepremier — zużyłyby 12% prądu, którym rozporządza Rzeczpospolita.

Pięknie to mówi o tych kolosach, ale źle o Rzeczpospolitej...

Idziemy między tymi wszystkimi kolosami z mieszanym uczuciem. Te suwnice po 60 ton, te piece po 2000 stopni ciepła, te prasy o sile 200 atmosfer, ten orgiazm gazu, tryskającego z nieposkromioną wściekłością po przebyciu 200 kilometrów „na własnych nogach" — ten Hefaistyczny szczęk i zamęt, z którego rodzą się hartowne pancerze i działa, przypomina nam na każdym kroku, że oto u stóp dźwigów i lewarów, wież, kół napędowych, kranów, pieców, suwnic, młotów pełza nasze miękociałe jestestwo. W mrowisku trybów czujemy się jak tłuste larwy, wynoszone w mrowisku na słońce. Zaraz tu huknie w łeb jakiś trawers — z rozbitego łba wypłynie nieco wody i mózgu; zaraz tu jakaś ruchoma piła, czy pełznący ognisty drut odetnie nogę — z nogi wyciekníe nieco posoki; zwali się na nas wielotonowy huragan— któż odgrzebie te trochę miazgi ludzkiej, która szybko przyschnie na rozgrzanych stalowych powierzchniach.

Wchodzimy do młotowni. Potężne hydrauliczne młoty spadają na rozpalone bloki czerwonej stali. Olbrzymia hala stoi w nieustannym grzmocie eksplozji. Na lewo strzelił piorun — to potworny blok stali spadł na ognisty sześcian; niby echo — wstrząsają halą detonacje powietrza, ale wpada w nie grzmot uderzenia sąsiedniego młota, następnego, następnego, echa eksplozji powietrznych uwielokratniają się. Larwy ludzkie, zatykając uszy rękami, przepychają się, by ujrzeć najlepiej, najbliżej.

Dyrektor Siedlanowski daje znak... drobne poruszenie dłoni robotnika i młot zawisa nieruchomo.

Wychodzimy na zewnątrz; inżynier oprowadzający mówi o precyzji młotów, które można tak wyregulować, że „stłuką szkło, a nie zmiażdżą zegarka".

Prostujemy się.

Teraz idziemy do pieców hartowniczych, wysokich na 38 metrów, a raczej na 26 metrów, bo 12 metrów każdego z nich jest w ziemi. Koło nich tejże wysokości zbiorniki z oliwą i z wodą. Kran niezwykle pośpieszny i precyzyjny (kosztował 240,000 zł), szybko wyciąga z pieca lufę armatnią, aby ją natychmiast zanurzyć w oliwie. Ta instalacja pozwala hartować nawet 14 metrowe lufy.

Taka lufa, to jest właściwie przyciosany blok stali. Ścinają w nim od góry 30, od dołu 10 centymetrów. Po zahartowaniu idzie do dalszej obróbki, do dalszego „zdzierania".

W dalszych częściach fabryki widzimy dopiero, jak boruje się gwint w takim bloku, jak wgryza się w niego świder z wyjątkowo cennej, wyjątkowo hartownej stali, pracujący w ciągle napływającej oliwie.

Za każdym razem, gdy widzę montowanie czegoś, co ma być zasklepione oczom ludzkim i potem działać, jak mądry niechybnie działający i ożywiony rozumem stwór — doświadczam tego wrażenia, które mieli robotnicy Mościccy, ustawiający maszyny, którzy zostawali dobrowolnie i bezpłatnie na drugą zmianę; uczucie, które się ma, oglądając montującą się maszynę, da się porównać do tego, które przeżywamy obserwując wzrost rośliny przez uwielokratniające przyrządy.

Właśnie jesteśmy na „strece" walcowni blachy pancernej, którą wykańczają. Gdy przyjedziemy następnym razem — swobodnie i bez wysiłku toczyć się będzie przepaść bardzo głębokiego dołu.

— Patrzcie, co za bogactwa zakopujemy tutaj — woła w zachwycie oprowadzający inżynier. Istotnie — pod każdym stoiskiem montowany jest motor. Nadziemne państwo machin jest tu rządzone wszędzie jeszcze potężniejszym państwem podziemnym motorów, rur i kabli.

— Ludzie okoliczni, widząc, że tyle ziemi wywozimy, mówią, że właściwa fabryka jest budowana pod ziemią.

Ostatnie oczko w tym szeregu spraw grzmiących i potężnych — to oddział pomiarowców. Zaangażowano do tego maturzystów gimnazjum w Nisku. Wielką różnorakością niesłychanie precyzyjnych sprawdzianów badają, jak też ostatecznie udał się produkt wychodzący ze świata rudy chropawej, młotów walących piętrem stali i suwnic przenoszących po kilka wagonów. Młody chłopczyk, przy którym się zatrzymuję, bierze dwie tabliczki polerowanej stali, kładzie jedną na drugą i tabliczek nie można oderwać: ich powierzchnie są tak idealnie polerowane, że między dwoma płaszczyznami nie ma miejsca na szczyptę powietrza.

I znowu, jak za poprzednią wizytą, słuchamy referatu: wówczas czasowniki brzmiały przeważnie w czasie przyszłym; obecnie przeważa czas przeszły:

7 kwietnia 1938 r. została ostrzelana pierwsza armata na strzelnicy zakładowej.

5 września 1938 r. została wytopiona pierwsza stal szlachetna w piecu wielkiej częstotliwości.

Kuźnię wykończono w 285 dni, walcownię w 400 dni, narzędziarnię w 215 dni, gimnazjum i szkołę powszechną w 130 dni...

Nie należy kręcić nosem, jeśli poczną się tu rodzić dzieci w trzy miesiące po ślubie. Bo to Stalowa Wola.

Stalowa Wola jest w dwudziestym miesiącu budowy i uruchomienia i ma ukończone budowle w 98%.

Jest wreszcie w sprawozdaniu i f u t u r u s:

Całość Zakładów w Stalowej Woli będzie wybudowana i uruchomiona na jeden rok wcześniej od umownego terminu.

*

Kiedy odjeżdżamy, słońce obficie kładzie się na las. Rozpamiętuję, jak tu z harmonogramem przyszli po raz pierwszy ludzie i jak las topniał, a harmonogram pęczniał w roboty dokonane. Las topniał... wjeżdżamy w blask białych ścian rozwijającego się „Miasta Stalowa Wola“, tego, które niecały rok temu wieściły owe dwa nieociosane bale, dźwigające szyld. Teraz otwarte wnętrza schludnych sklepów zapraszają przechodnia, dążącego pięknymi chodnikami.

A na wygonie w głębi lasu biega po kamienistym majdanie uwiązana do stalowego kierata stucentymetrowa haubica. Kierat raz puszczony, nie jest dozorowany. Haubica biegnie dudniąc samotnie; ma tak zrobić ponoć szesnaście kilometrów, robiąc dwanaście kilometrów na godzinę. Potem przyjdą obejrzeć, czy jej się co nie obtrzęsło i uwiążą drugą.

Myślę, że dobrzeby mieć taki kierat-próbę na ludzi. Zwłaszcza na tych, co każą, wbrew logice, mówić „hop!“... kiedy się już przeskoczy. Wtedy już „hop!“... nie potrzebne.

Władysław Bagiński

Francuski eksperyment

W dniu 21 czerwca 1936 r. parlament francuski uchwalił wniesiony parę dni przed tym terminem przez rząd projekt ustawy o czterdziestogodzinnym tygodniu pracy. Senat nie wnosił żadnych sprzeciwów, wobec czego projekt stał się ustawą. To niezwykłe, jak na francuskie stosunki, tempo uchwalenia ustawy, zmieniającej w sposób zasadniczy jeden z podstawowych czynników produkcji, jakim jest czas pracy, tłumaczyć należy stanem napięcia społecznego, jaki panował wówczas we Francji. Około dwa miliony robotników znajdowało się w stanie strajku. Okupacje tysięcy zakładów pracy mogły zamienić się na jeszcze ostrzejszą formę walki społecznej. Wielkie i szybkie reformy społeczne — oświadczył niedawny minister pracy p. Ramadier — zdołały przywrócić spokój w kraju a warsztatom dały możność pracy i produkcji.

Francuska ustawa o 40-godzinnym tygodniu pracy jest więc ustawą o charakterze wyjątkowym, coś w rodzaju „Notgesetz“. Nie jest ona rezultatem długich prac przygotowawczych i badań, nie jest ona również wynikiem jakiejś stałej ewolucji. W momencie uchwalania ustawy o 40-godzinnym tygodniu pracy poprzednia ustawa o 8-godzinnym dniu pracy nie była jeszcze w szeregu gałęziach pracy stosowana. Ustawa ta jest natomiast „zdobyczą społeczną“ w ścisłym znaczeniu tego słowa, aktem, którego motywów szukać raczej należy w szerokim łożysku sprawiedliwości społecznej, niż w ścisłym obrachunku społeczno-gospodarczym.

Niemniej jest ona punktem wyjścia jednego z najbardziej poważnych eksperymentów w zakresie skrócenia czasu pracy. Jak wiadomo — problem skrócenia czasu pracy, który właśnie znajduje wyraz w formule 40-godzinnego tygodnia pracy, zajmuje już od dawna opinię publiczną, uwagę niektórych ekonomistów, rządów szeregu państw i organów polityki społecznej międzynarodowej. Cały szereg osób kompetentnych wypowiadało się za skróceniem czasu pracy, uważając, że jest to konieczne nie tylko ze względu na podział sumy zatrudnienia na większą liczbę rąk roboczych, ale przede wszystkim ze względu na coraz większy wysiłek nerwowy, jakiego od pracownika wymaga współczesny proces produkcji. Zwiększenie wydajności pracy pozwala na skrócenie czasu pracy.

Oczywiście sprawa skrócenia czasu pracy posiada również zagorzałych przeciwników. Coroczne sesje Międzynarodowej Konferencji Pracy stanowią forum, na którym spotykają się w coraz gwałtowniejszych dyskusjach dwa przeciwne obozy. Trzeba przyznać, że jakkolwiek w Genewie zasada skrócenia czasu pracy zdaje się zwyciężać, to jednak praktyczne zastosowanie jej w ustawodawstwie państw — członków Międzynarodowej Organizacji Pracy — jest minimalne. Jeżeli pozostawimy na boku Katalonię, która w 1936 r. wprowadziła u siebie zasadę 40-godzinnego tygodnia pracy, aby w 1938 r. ją uchylić, oraz Włochy, które wprawdzie samą zasadę również przyjęły i wprowadziły do ustawodawstwa (dekret królewski z 26 lutego 1937 r.), ale które przewidują takie możliwości odchyleń od tej zasady, że w rzeczywistości nie jest ona stosowana, to Francja pozostaje jedynym państwem europejskim, które w sposób powszechny skróciło czas pracy, zaprowadzając 40-godzinny tydzień pracy.

Francuska ustawa z dnia 21 czerwca 1938 r. ustala przede wszystkim zasadę, że tydzień pracy robotnika i pracownika francuskiego nie powinien przekraczać 40 godzin tygodniowo, a w górnictwie 38 godzin i 40 minut. Ustalenie terminów i sposobów wprowadzenia w życie tej zasady w poszczególnych gałęziach życia gospodarczego ustawa pozostawiła rozporządzeniom Rady Ministrów. Rada Ministrów nie zwlekała z wykorzystaniem swoich uprawnień w tym zakresie. W czasie od września 1936 r. do sierpnia 1937 r. ogłoszono w „Journal Officiel“ ponad 70 rozporządzeń wykonawczych do ustawy o 40-godzinnym tygodniu pracy. W końcu 1937 r. 40-godzinny tydzień pracy obowiązywał we wszystkich kopalniach, fabrykach i przedsiębiorstwach transportowych, we wszystkich magazynach handlowych, bankach, biurach i hotelach, w każdym drobnym warsztacie rzemieślniczym, jak i w każdym wielkim przedsiębiorstwie przemysłowym. Według danych ogłoszonych w czasopiśmie „Economiste Francais“ (nr 46 z 1937 r.) w październiku 1937 r. wśród przedsiębiorstw, zatrudniających ponad 200 robotników, 8.154 z załogą 2.206.045 robotników podlegało przepisom o 40-godzinnym tygodniu pracy, a tylko 28 z załogą 4.827 robotników nie zostało jeszcze rozporządzeniami Rady Ministrów objęte.

Jak z tego widać skrócenie czasu pracy we Francji było powszechne i zostało dokonane w rekordowym wręcz okresie czasu. I jeszcze jeden moment charakterystyczny dla eksperymentu francuskiego: skrócenie czasu pracy zostało przeprowadzone z całą bezwzględnością i surowością nawet w tych gałęziach pracy, w których przystosowanie się do nowego reżimu wymagało dłuższego okresu. Wreszcie zostało ono przeprowadzone według jednego sposobu, nie zawsze odpowiadającego potrzebom i wymaganiom poszczególnych dziedzin przemysłu, mianowicie przez zmniejszenie dni pracy w tygodniu o jeden. Ostatecznie francuski 40-godzinny tydzień pracy przyjął w zastosowaniu postać pięciodniowego tygodnia pracy (5 dni po 8 godzin), co przyniosło robotnikom dodatkowy dzień wolny (obok niedzieli), a życiu gospodarczemu francuskiemu w tygodniu okres martwy.

Należy przyznać, że sposób zastosowania ustawy o 40-godzinnym tygodniu pracy nie wynika z przepisów ustawowych. Wręcz przeciwnie. Większość rozporządzeń rządowych dawała czynnikom zainteresowanym (tj. pracownikom i pracodawcom) trzy rozmaite możliwości zadośćuczynienia ustawie o 40-godzinnym tygodniu pracy, a system 5 dni pracy, czy też, jak go później nazwano, system „dwóch niedziel“ stanowił tylko jeden z nich. Dwie pozostałe możliwości, to 1) zmniejszenie dziennego czasu pracy do 6 godzin 40 minut, 2) 6 dni pracy o czasie niejednolitym, tj. z poważnie skróconą sobotą. Ponieważ jednak wybór jednego z tych systemów zależał od porozumienia pracodawcy z pracownikami, ci ostatni zaś w każdym przypadku przenosili system dwóch niedziel ponad inne, przeto ten system właśnie zapanował w przeważnej większości gałęzi produkcji i on to nadaje eksperymentowi francuskiemu jego specyficzny charakter.

Wprowadzenie 40-godzinnego tygodnia pracy, nie tyle zresztą sama zasada może, ile gwałtowny i nie liczący się z warunkami pracy niektórych gałęzi życia gospodarczego sposób jej realizacji, wywołały cały szereg sprzeciwów i poważnych trudności. Rozporządzenie Rady Ministrów o zastosowaniu 40-godzinnego tygodnia pracy w przemyśle hotelarskim omal nie doprowadziło do zamknięcia wszystkich hoteli w Paryżu w okresie otwarcia wystawy międzynarodowej. Dopiero modyfikacja niektórych przepisów rozporządzenia i większa, niż w innych gałęziach pracy, możność stosowania pracy w godzinach nadliczbowych, zapobiegła manifestacji, która wisiała na włosku. Trudności innej natury powstawały w związku z zastosowaniem pięciodniowego tygodnia pracy w handlu i bankowości. Przy stosowaniu systemu dwóch niedziel, dniem wolnym od pracy według wyboru pracodawcy powi-

nien być poniedziałek albo sobota. Banki wybrały oczywiście sobotę, która stanowi dzień najmniej licznych operacyj, natomiast magazyny handlowe wolały świętować w poniedziałek, który znów jest dniem najmniejszego ruchu i najmniejszych obrotów handlowych. W ten sposób współpraca magazynów handlowych i banków została poważnie ograniczona, a okres martwy w zakresie tych stosunków rozszerzył się prawie na połowę tygodnia.

Niezależnie jednak od tych trudności natury technicznej 40-godzinny tydzień pracy, połączony z podwyżką stawek płac, spowodował poważne trudności natury gospodarczej. Dziś już opinia rzeczoznawców jest jednomyślna co do tego, że Francja wybrała niewłaściwy moment dla przeprowadzenia tej wielkiej reformy w zakresie skrócenia czasu pracy. Dyrektor Międzynarodowego Biura Pracy p. H. Butler w swoim raporcie dorocznym (Genève 1938) wypowiada pogląd, że „reforma ta (tj. skrócenie czasu pracy we Francji) mogłaby być zrealizowana bez większych trudności, gdyby kraj znajdował się w normalnych warunkach politycznych, finansowych i ekonomicznych". I dodaje: „Lecz tak nie było we Francji". W swoim przemówieniu na XX sesji Międzynarodowej Konferencji Pracy w Genewie ówczesny Minister Pracy Francji, p. Ramadier, przyznaje, że „rząd napotkał na nie dające się zaprzeczyć trudności przy realizacji ustawy o 40-godzinnym tygodniu pracy. Zbieg tej wielkiej reformy z kryzysem społecznym powiększył niewątpliwie trudności przystosowania się produkcji do nowego reżimu".

Jednak okolicznością, która wywołała we Francji falę silnej reakcji przeciwko 40-godzinnemu tygodniowi pracy w ogóle, a przeciwko jego jaskrawej formie w postaci „dwóch niedziel" w szczególności, był pewien nawrót koniunktury, jaki gospodarka świata zaczęła odczuwać. Rozwój szeregu przemysłów w państwach sąsiednich wykazał, że Francja pozostaje coraz bardziej w tyle za innymi narodami w wyścigu pracy i produkcji. W przemówieniu z dnia 14 listopada rb. francuski Minister Finansów podał szereg przykładów cofania się gospodarki francuskiej. „W roku 1933 — mówił — Francja produkowała więcej żelaza niż Niemcy; dzisiaj produkuje cztery razy mniej. Wywóz za granicę naszych warsztatów pracy spadł o połowę. Podczas gdy u nas działalność budowlana w ciągu 9 lat zmniejszyła się o połowę, w Niemczech wzmogła się o 60%". Taką oto litanię zestawień przedstawia rząd narodowi, aby wyciągnąć z tego następujący wniosek: „Jeżeli Francja ma wygrać partię, musimy zwiększyć naszą produkcję od 10% do 40%".

Momentem decydującym, który skłonił rząd francuski najpierw do zabiegów, zmierzających do rozluźnienia ustawy i uelastycznienia sposobów jej stosowania w niektórych gałęziach produkcji, a następnie do generalnego zniesienia systemu „dwóch niedziel" — był wzgląd na konieczność wzmożenia pracy i produkcji, związanej z obroną państwa. Ostatnie wypadki natury międzynarodowej, które doprowadziły we Francji do częściowej mobilizacji i które groźbę wojny uczyniły całkowicie bezpośrednią, wykazały między innymi słabą wydajność przemysłu wojennego. Konieczność dozbrojenia, konieczność przygotowania kraju do obrony, oto momenty, które zaważyły decydująco na postanowieniu rządu zawieszenia na pewien czas eksperymentu z 40-godz. tygodniem pracy. Pierwszą zapowiedź tej decyzji zakomunikował krajowi prezes Rady Ministrów p. Daladier w przemówieniu, wygłoszonym przez radio w dniu 21 sierpnia rb., gdy mówił: „Dopóki sytuacja międzynarodowa pozostanie delikatna, trzeba, aby można było pracować do 48 godzin tygodniowo w zakładach pracy, w których działalności jest zainteresowana obrona narodowa".

Dziś więc, po dwuletnim zaledwie okresie obowiązywania ustawy, eksperyment 40-godzinnego tygodnia pracy we Francji został przerwany. Wśród kilkudziesięciu dekretów, wydanych w dniu 12 i 13 listopada przez rząd Daladiera dla naprawy życia gospodarczego Francji na podstawie specjalnych pełnomocnictw, znajdujemy jeden, który zawiesza na okres trzech lat stosowanie czasu pracy, jaki został wprowadzony rozporządzeniami wykonawczymi do ustawy o 40-godzinnym tygodniu pracy. Dekret ten utrzymuje wprawdzie zasadę 40-godzinnego tygodnia pracy, natomiast znosi system dwóch niedziel, postanawiając, że podstawą tygodnia pracy ma być 6 dni roboczych, na które pracodawca powinien rozdzielić godziny pracy. Pięciodniowy tydzień pracy może być stosowany tylko w tych zakładach lub gałęziach produkcji, które uzyskały na to specjalne zezwolenie Ministra Pracy. Wspomniany dekret udziela poza tym każdemu pracodawcy kredytu 50 godzin nadliczbowych na pracownika oraz ułatwia uzyskanie dalszego zezwolenia na pracę w godzinach nadliczbowych, z tym jednak zastrzeżeniem, że ogólna liczba godzin pracy w tygodniu nie powinna przekraczać 48. Wreszcie dekret obniża stawki wynagrodzenia za godziny nadliczbowe, przewidując, że nadwyżka wynagrodzenia za pierwsze 200 godzin nadliczbowych nie powinna przekraczać 10%, za następne 15%, osiągając 25% dopiero przy 401 godzinie nadliczbowej i następnych.

W ten sposób eksperyment francuski na płaszczyźnie ustawowej można uważać za zakończony. Nowy dekret nie tylko zniósł system pięciodniowego tygodnia pracy, który dla eksperymentu francuskiego był charakterystyczny, lecz ponadto ułatwił stosowanie pracy w godzinach nadliczbowych, nie czyniąc w tej mierze żadnych przeszkód, jeżeli pracodawca wykaże potrzebę pracy dodatkowej. Co więcej! Jeżeli chodzi o pracę w fabrykach, pracujących dla obrony państwa, przepisy dekretu przewidują nie tylko możliwość przedłużenia czasu pracy, lecz nakładają nawet na pracowników obowiązek wykonywania pracy w godzinach nadliczbowych, jeżeli zostanie ona w przemyśle wojennym zarządzona. Ustawodawca francuski poszedł tutaj nawet tak daleko, że odmowę wykonywania pracy w godzinach nadliczbowych obłożył ostrą sankcją. Robotnik, który odmawia pracy w godzinach nadliczbowych w zakładzie pracy, pracującym dla obrony kraju, może być w myśl dekretu zwolniony z miejsca i bez odszkodowania, tracąc prawo do zasiłku na wypadek braku pracy na okres sześciu miesięcy i możność zatrudnienia w innym zakładzie przemysłu wojennego na takiż okres czasu. Nakłanianie, czyli podżeganie robotników do odmowy pracy w godzinach nadliczbowych w przemyśle wojennym jest uważane przez dekret za przestępstwo, zagrożone karą więzienia i grzywny.

Powiedzieliśmy, że eksperyment francuski można uważać za ukończony na płaszczyźnie ustawowej. Nie jest to jednak równoznaczne z rzeczywistą likwidacją zdobyczy społecznej, do której robotnicy francuscy są przywiązani i z której nie chcą zrezygnować. Już pierwsze próby wprowadzenia w życie przepisów omawianego dekretu wywołały falę strajków protestacyjnych. Kongres Generalnej Konfederacji Pracy, która w swoich szeregach liczy obecnie ponad 5 milionów członków, wypowiedział się jednomyślnie przeciwko tym dekretom rządu Daladiera, które „naruszają prawa i przynoszą szkodę interesom pracowników", w szczególności przeciwko dekretowi, likwidującemu 40-godzinny tydzień pracy. Kongres udzielił kierownictwu i komisji administracyjnej Konfederacji mandatu „do przygotowania oporu przeciwko wprowadzeniu w życie tych dekretów i do przygotowania bez zwłoki potrzebnej w tym celu akcji, nie wyłączając zbiorowego zaprzestania pracy w przypadku, gdyby to dla obrony reform socjalnych okazało się konieczne". Walka przenosi się więc na płaszczyznę polityczną i agitacji masowej. Wynik jej nie jest tutaj zależny od argumentów rzeczowych i rzeczywistych potrzeb gospodarczych, lecz raczej od tego, która strona wykaże więcej siły.

Niemniej trzeba stwierdzić, że życie gospodarcze Francji, w szczególności zaś jej przemysł wojenny, wymagał niewątpliwie pewnego rozluźnienia reżimu, jaki obowiązywał dotychczas. Wiadomo, że w tym przemyśle w szczególności czas odgrywa bardzo poważną rolę i wykonanie planów zbrojeniowych we właściwym czasie może często zadecydować o wyniku ewentualnego zatargu zbrojnego. Rozwój przemysłu wojennego ostatnich lat stanowi zapewne jedną z najbardziej istotnych przyczyn, utrudniających zastosowanie zasady skrócenia czasu pracy przez inne kraje. Gorączkowa praca w tej dziedzinie stanęła wpoprzek tendencjom do ograniczenia czasu pracy i wywołała w ostatnim roku na świecie raczej tendencję przeciwną. Stwierdza to w cytowanym już raporcie dyrektor M. B. P. gdy mówi: „W rzeczywistości w roku ostatnim ujawnia się tendencja raczej do zwiększenia, niż do zmniejszenia, jeżeli nie normalnego czasu pracy, to w każdym razie liczby godzin pracy rzeczywiście wykonanej". Francja, która pragnie się zbroić, nie zdoła przeciwstawić się tej tendencji.

Niezależnie od tego z eksperymentu francuskiego można wyciągnąć na przyszłość następującą naukę: zmniejszenie liczby godzin pracy nie może stanowić przedmiotu sztywnej lub arytmetycznej formuły do uniwersalnego zastosowania. Należy uznać raczej konieczność stosowania w tej dziedzinie zasad elastycznych i zmiennych, przystosowanych do potrzeb i sytuacji.

Jeśli jesteś przyjacielem pisma — staraj się zjednać mu prenumeratorów

Tadeusz Nowacki

ŻYCIE PROWINCJI

Łódź — miasto pasierb

Pewien adwokat krakowski wyraził się raz w rozmowie, że każde miasto i każde województwo produkuje coś, czego samo skonsumować nie może. Krynica — wody lecznicze, Śląsk — węgiel i żelazo, Brzeziny — ubrania po 5 zł, Warszawa — okólniki, Trzyniec — żelazo, Łódź nie może skonsumować swoich wyrobów włókienniczych. Nie może nawet wyrobów łódzkich skonsumować cała Polska, ale podobno w znacznej mierze dlatego, że są liche. Zresztą ujęcie to można łatwo odwrócić. Każde miasto i województwo gwałtownie czegoś potrzebuje. Naprzykład Warszawa ostatnio starych murów, czego „nadprodukcję" ma Kraków i Toruń, COP — węgla i żelaza, Bydgoszcz — Urzędu Wojewódzkiego, wszystkie województwa wschodnie — dróg. Poza tymi specjalnymi potrzebami, wszyscy ludzie, wszystkie miasta i wszystkie województwa potrzebują jeszcze trzech rzeczy, o których mówił Napoleon, że są dla wojny niezbędne — a mianowicie: pieniędzy, pieniędzy, pieniędzy... Polsce potrzeba ich równie mocno, jak kolonii...

Jeżeli chodzi o gwałtowne potrzeby Łodzi, to można by je ująć krótko, tak wielką jest ich ilość. Łodzi potrzeba kultury. I to zarówno materialnej, jak duchowej. Najpierw cokolwiek o tej pierwszej. Jako znający Łódź mnóstwo lat muszę podkreślić, że dużo się w tym kierunku zrobiło. Powstało mnóstwo nowych, ładnych domów (podobno na skutek zarządzeń dewizowych), kilka gmachów o charakterze monumentalnym, cały szereg niezbędnych i pożytecznych inwestycyj, trawniki, zieleńce, ogromny park ludowy na Polesiu Konstantynowskim... Burzy się paskudne, drewniane budy (czemu dopiero teraz?), stojące przy głównej arterii miasta, ulicy Piotrkowskiej, gdzie dotąd obok pięciopiętrowej kamienicy stały wrośnięte w ziemię, przegniłe drewniane domeczki. Taka wielkomiejska sielanka.

Słynne „płotowe" zarządzenie p. Premiera nie zrobiło nigdzie chyba tyle dobrego co w Łodzi. Kiedy na miejsce desek pojawiły się siatki druciane, w mieście odkryły się nagle przestrzenie niezabudowane i cały szereg wcale nieraz ładnych perspektyw. Odsłoniły się prywatne ogrody (mniej to przyjemne dla właścicieli), a skonfundowani Łodzianie odkryli nagle, że w centrum miasta obok nowoczesnego gmachu zobaczyć można... kartoflisko. Taka Gdynia, której nikt nie podejrzewał.

Piętą achillesową miasta są bruki. Reprezentacyjny kawałek asfaltu na ulicy Piotrkowskiej, zbudowany przed kilku laty, nie zamierza absolutnie mieć żadnego potomstwa. Potężne „kocie łby" stanowią nadal nielada atrakcję dla przyjeżdżających. Poza tym, że ulice są stale rozkopywane. Złośliwi twierdzą, że zarząd miejski od kilkunastu lat bezskutecznie poszukuje złota. Ale to jest tylko złośliwość. Któżby poszukując złota rozkopywał dziesięć razy to samo miejsce! Zakrojony obecnie program inwestycyjny przewiduje przebudowanie ulic w części śródmieścia i zabrukowanie ich kostką. Wszystko to jednak razem wygląda dość skromnie.

Przypadkowo Łódź korzysta na inwestycjach państwowych. Państwo buduje wszystkie arterie przelotowe Łodzi i to jest robota bardzo solidna. Głębokie fundamenty, a na wierzch idzie mocna kostka granitowa.

A teraz sprawy inne. Od wielu lat w różnych sferach podejmowane są próby organizowania życia kulturalnego Łodzi. Jest tu do pokonania ta ogromna trudność, że więcej niż 1/3 mieszkańców Łodzi stanowi mniejszość żydowska, a obok tego jest liczna grupa niemiecka. W grupie polskiej jest niższy stosunkowo stopień zamożności i nieliczna grupa inteligencka. W znakomitej większości stanowią ją nauczyciele i urzędnicy. Wysiłki organizowania kultury Łodzi opierają się na tych dwóch grupach. Poza tym istnieje „kulturalna pustka" — lotne piaski, wymagające jeszcze wielu długotrwałych starań, zanim coś na nich zakwitnie. A sprawa to pierwszorzędnej wagi, jeśli wziąć pod uwagę, że Łódz jest po Warszawie największym skupiskiem ludnościowym. Niemniej pewne działy, o charakterze społecznym są zorganizowane dobrze. Należy do nich szpitalnictwo, szkolnictwo, opieka społeczna itd. Istnieje bardzo dobrze zorganizowana, powstała z inicjatywy nauczycielskiej Centralna Biblioteka Pedagogiczna o obfitym księgozbiorze. Stanowi ona doskonałą pomoc dla nauczycieli łódzkich.

Jedną z ogromnych bolączek Łodzi obok bruków, są mieszkania. Cena dwupokojowego mieszkania „z wygodami" w śródmieściu dochodzi do 150 zł, mieszkanie trzypokojowe w nowym domu kosztuje 200—250 zł. Jest to dla urzędników ogromnie dużo, jeśli się zważy, że Łódź nie posiada dodatku wielkomiejskiego. Urzędnik z wyższym wykształceniem, kilka lat przebywający w VIII szczeblu uposażenia, nie ma możności w tych warunkach założenia ogniska rodzinnego i normalnego domu, który by stanowił wypoczynek po pracy. A przecież pod względem wartości narodowej i państwowej jest to w Łodzi najcenniejszy element ludzki i należało by dbać o to, aby reprodukował się on w potomstwie.

W Łódzkim Dzienniku Wojewódzkim nr 21 z dn. 15 października rb. na str. 516 znajduje się skalkulowany budżet utrzymania rodziny czteroosobowej za 150 zł (początkowe uposażenie urzędnika państwowego ze średnim wykształceniem). Budżet ten wygląda „na oko" dość prawdopodobnie, jednak bliższe przypatrzenie mu się wykrywa takie rzeczy, jak wyznaczenie na cztery osoby mieszkania jednoizbowego w cenie 11 zł 30 gr miesięcznie, co jest chyba możliwe na wsiach podłódzkich, cenę chleba na 30,75 gr za kilogram, gdy cena ta wynosi 35 gr. Przewiduje dalej ten budżet ¾ litra mleka na cztery osoby dziennie, oświetlenie naftowe(!), cukru 1 kg na 9 dni na cztery osoby! Przewiduje dalej ten budżet rocznie na osobę 1 m 12 cm materiału ubraniowego (z metra materiału płaszcze i ubrania!), ale nie przewiduje krawca! Na teatr i kino przewiduje ten budżet 62,5 gr miesięcznie, to znaczy że jedna osoba może iść do kina raz na pół roku. Natomiast budżet powyższy nie przewiduje owoców (we wrześniu!), tłuszczu do chleba, nakrycia głowy (kapelusza czy czapki), krawatu, pończoch i skarpetek, sznurowadeł, spinek, lekarstw, rękawiczek, szczoteczek i proszku do zębów, igieł, nici, guzików, agrawek, pióra, atramentu, papieru, listów, szczotek, ścierek, garnków, książek (nawet szkolnych!) itd.

Ta dłuższa analiza ogłoszonego budżetu była w pewnym stopniu konieczna dla wykazania jego iluzoryczności. W dobie gdy urzędnicy łódzcy występują o przyznanie im dodatku wielkomiejskiego, analiza ta może okazać się pożyteczną.

Teraz po tym dość czarnym fragmencie nieco weselszy. Łódź nie żałuje pieniędzy na wszelkie akcje kulturalne i to zarówno czynniki państwowe, jak i samorządowe. Ostatnio wzmożony ruch obserwować można na polu literackim. Niestety subwencje nie zawsze trafiają do rąk właściwych. I tak mówi się głośno o zasubwencjonowaniu pisma „Kultura Łodzi", którego jeden numer ukazał się w początku tego roku i po subwencji „Kultura Łodzi" zgasła, zostawiwszy mgłę dwuznacznych plotek i wyraźnie konkretyzowanych zarzutów natury moralno-finansowej. Następnie powstały „Wymiary", prowadzone przez Sarneckiego i Timofiejewa, którymi czule z racji artykułu na temat sprawy czechosłowackiej zaopiekowała się prasa warszawska („Prosto z mostu", „Kurier Poranny"). Prawdopodobnie zresztą artykuł ten był to tylko lapsus calami, ale poza tym „Wymiary" postąpiły w sposób niewłaściwy wobec grupy literackiej, wydającej „Osnowy". Zawrzała wojna, w którą wmieszał się Marian Piechal, posypały się inwektywy w rezultacie kompromitujące swą jakością wszystkich wmieszanych w aferę. Na skutek tej wojny Piechal zakłada nowe pismo „Odnowa", którego pierwszy numer w tych dniach ma się ukazać.

Z tego wszystkiego niezmierną wagę posiada fakt, że ogromne miasto dotąd nie ma pozycji twórczej w polskiej kulturze. Niewątpliwie dużo by tutaj pomógł uniwersytet, który Łodzi się należy. Oddział Wolnej Wszechnicy nie może wypełnić roli twórczej miazgi kulturalnej, gdyż właściwie jest to instytucja bardzo ulotna i spotkałem się z wątpliwościami, czy wypełnia ona dobrze swe własne zadania; obsługujący ją „latający profesorowie" z Warszawy są z życiem Łodzi zbyt słabo związani, aby mogli być fermentem żywszego ruchu kulturalnego. Łódź woła o swe prawo do życia kulturalnego.

ŻYCIE MŁODZIEŻY

Kongres Legionu Młodzieży Polskiej

W czwartek, 8 b. m. odbył się w Warszawie, poprzedzony kongresami Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej i Legionu Młodych oraz złożeniem wieńców na Grobie Nieznanego Żołnierza i w Belwederze, uroczysty Kongres Legionu Młodzieży Polskiej — nowoutworzonej organizacji młodych Piłsudczyków, powstałej z połączenia Z. P. M. D., Legionu Młodych, b. wychowanków Straży Przedniej oraz grupy młodzieży wołyńskiej, t. zw. „Kadry".

Kongres, który zaszczycił swoją obecnością senior ruchu Zetowego Stanisław Bukowiecki, otworzył p. Leon Stachurski i powołał na przewodniczącego kol. Jana Bajorka ze Lwowa. Po odczytaniu depesz powitalnych przemawiali kolejno: komendant Legionu Młodych Mrozowicki, prezes Z. P. M. D. Szłapczyński, przedstawiciel „Kadry" Zalewski, przedstawiciel b. wychowanków Straży Przedniej Andrzejowski oraz od niestowarzyszonych — Kl. Lechnicki.

Uroczysty moment połączenia nastąpił po odczytaniu deklaracji połączeniowej i symbolicznego rozkazu komendanta o połączeniu Strzelców i Drużyniaków, po których prezes Z. P. M. D. i komendant Legionu Młodych wymienili wśród hucznych oklasków znaczki organizacyjne. Jako ostatni zabrali głos przedstawiciele Seniorów: w imieniu Zw. Seniorów O. M. N. i Z. P. M. D. przemówił prezes sen. Tadeusz Katelbach (przemówienie to zamieszczamy na str. 2), w imieniu zaś seniorów Legionu Młodych p. Grudziński.

Oficjalną część Kongresu zamknięto odczytaniem depesz: do Pana Prezydenta, Marszałka Rydza - Śmigłego, p. Aleksandry Piłsudskiej, premiera Sławoj - Składkowskiego i v.-premiera Kwiatkowskiego.

W części nieoficjalnej Kongresu dokonano przez aklamację wyboru Zarządu Głównego L. M. P., na czele którego stanął Józef Mrozowicki, v.-prezesem zaś został Zenon Szłapczyński.

Na marginesie

SPRAWIEDLIWOŚĆ PIŁATA

Sprawa żydowska od dłuższego czasu stanowi przedmiot zainteresowań i pertraktacji międzynarodowych. Odbywają się konferencje główne, konferencje dodatkowe, konferencje incydentalne etc.

Z młóconej na tych konferencjach słomy coraz jaśniej daje się wydobyć jeden wniosek zasadniczy. Warunkiem, by czynniki międzynarodowe istotnie chciały zajmować się realnie jakimś fragmentem zagadnienia żydowskiego, jest doprowadzenie sytuacji na tym odcinku do absurdu: wytworzenie stanu absolutnie niemożliwego do tolerowania, wejście na drogę niczym nieograniczonego gwałtu.

Narody „sprawiedliwe", które oburzają się na rozwój antysemityzmu wśród innych narodów, tych „niesprawiedliwych", zachowują ze swej strony postawę godną i rzeczową, podobną do tej, którą przed lat niemal dwóch tysiącem wsławił się rzymski namiestnik Poncjusz Piłat. Pragną one strząsnąć ze siebie nawet cień współodpowiedzialności za dzisiejszy stan sprawy żydowskiej w świecie, nie czyniąc nic z tego. co leży w ich mocy dla istotnego rozwiązania sprawy.

Postawa tego rodzaju nie przysporzyła dobrej sławy rzymskiemu namiestnikowi. W stosunku do dzisiejszych „demokracji" Zachodu narzuca się jeden wniosek. Współodpowiedzialność państw, posiadających obszary niedoludnione, za dzisiejszy stan sprawy żydowskiej w Europie musi być starannie i systematycznie stwierdzana i demaskowana.

Kto to ma robić? — Muszą to robić państwa, posiadające nadmiar ludności żydowskiej, muszą to jednak robić również i sami Żydzi. Publicyści żydowscy, piszący dotąd chętnie o antysemityźmie w Polsce i zamykający oczy na naturalne warunki tego antysemityzmu, muszą odpowiednią część swego zainteresowania zwrócić w kierunku ustalenia odpowiedzialności za stan zagadnienia żydowskiego w Europie również i tych państw, które dotąd zachowują dla siebie przywilej rzekomej cnoty i sprawiedliwości, choć grzeszą bodajże niemniej zaniedbaniem tego, co leży w ich mocy, niżeli ci, którzy z trudem starają się znaleźć racjonalne wyjście z sytuacji, której klucz leży w ręku pierwszych.

»TYDZIEŃ BEZ ŻYDÓW«

Wiosną ubiegłego roku jedno z pism południowych popełniło charakterystyczną pomyłkę zecerską, podając sprawozdanie o stanowisku rektorów pod następującym tytułem: „Decyzja Konferencji Rektorów— Zajścia na wyższych uczelniach wznowione zostaną dopiero po Świętach".

Tytuł ten był wysoce symptomatyczny. Od paru lat coraz wyraźniej ustala się stan faktyczny, przy którym z pojęciem wyższych uczelni silniej wiąże się pojęcie z a j ś ć, aniżeli z a j ę ć.

Podobnie jest i w roku bieżącym. Wielki aparat naukowy, utrzymywany przez Państwo kosztem około 25.000.000 rocznie, jest znowu od dłuższego czasu bezużyteczny. Studenci, z których k a ż d y jest właściwie kosztownym s t y p e n d y s t ą państwa, odpoczywają po trudach zorganizowania kilku awantur i manifestacji, nabierając sił do ponownego ich podjęcia po krótszej czy dłuższej przerwie.

Stan tego rodzaju jest niezmiernie absurdalny. Sumy, które państwo dopłaca do kształcenia każdego akademika, przeznaczone są na organizację zajęć, nie zajść uczelnianych. Lecz jest również i druga strona zagadnienia: sprawa odwagi cywilnej i odpowiedzialności za skutki awantur ze strony organizatorów.

Oto jak w N-rze 359 „A. B. C." oświetlone są zajścia, które doprowadziły do zawieszenia wykładów na Uniwersytecie im. Józefa Piłsudskiego:

Tytuł: P r o w o k a c j e ż y d o w s k i e d o p r o w a d z i ł y d o z a m k n i ę c i a u c z e l n i"; w treści, między innymi, czytamy:

> *„...zapoczątkowana przez młodzież narodowo-radykalną stała, spokojna, niemniej jednak zdecydowana akcja o numerus nullus na wyższych uczelniach doprowadziła na skutek prowokacji żydowskich do zamknięcia Uniwersytetu przez co skrzywdzeni zostali studenci Polacy. Jak wiadomo studenci-Polacy, zwolennicy idei narodowo-radykalnej, proklamując „Tydzień bez żydów", przeprowadzali swą akcję spokojnie, starając się nie dopuścić do żadnych zaburzeń. Na każdym jednak kroku spotykali się z prowokacjami żydowskimi, najlepszym tego dowodem jest zachowanie się żydów na medycynie, którzy na wezwanie do opuszczenia sal wykładowych odpowiedzieli już nie tylko wyzwiskami i zniewagami, ale czynnie, rzucając w studentów Polaków stołkami, krzesłami i kamieniami.*
>
> *Całkowita odpowiedzialność więc za zamknięcie Uniwersytetu spada na prowokatorów żydowskich i ich możnych popleczników".*

To już nie tylko ów przysłowiowy „królik zaczął". W przytoczonym fragmencie jest robiona naiwność nie tylko w stosunku do rzekomych „prowokacji żydowskich", krzywdzących „spokojną" młodzież polską. Jest w nim również tego samego rodzaju robiona naiwność w stosunku do podstawowych zasad porządku prawnego i publicznego w Państwie.

Marszałek Piłsudski mówił w swoim czasie o posłach i senatorach, iż każdy z nich ma pretensje do tego, by być „nadmaszynistą" i „nadkonduktorem". Dzisiaj stan ten, jeśli idzie o Izby, w dużej mierze należy już do przeszłości. Natomiast jeśli idzie o młodzież akademicką, to tutaj w całej pełni występuje zjawisko, iż pewna część tej młodzieży rości sobie pretensje do tego, by była uznawana za pewnego rodzaju „nadprawodawców" i „nadpolicjantów" równocześnie.

Naiwny absurd tego rodzaju postawy nie potrzebuje komentarzy. Po tej linii idąc, można by dojść do tego, że właściciele i szoferzy taksówek uchwalą sobie „Tydzień bez pieszych na ulicach", narzekając na prowokację ze strony tych, którzy, po „spokojnym" wsadzeniu przemocą do taksówki, nie będą mieli pieniędzy na opłacenie kursu.

Można walczyć o „numerus nullus", można się awanturować zamiast uczyć, nie można zapominać o podstawowych zasadach normalnego ustroju życia publicznego, ani normalnej logiki. Naiwność nieszczera przestaje być naiwnością, staje się cynizmem.

PEDAGOGIA

Piękną rzeczą jest serdeczny stosunek dzieci do wojska. Jednakże nie jest obojętne, jaki znajduje wyraz. W dniach przyłączenia Śląska Zaolziańskiego do Polski wojsko — jak pisze „I.K.C." — otrzymywało, między innymi, szereg listów dzieci, wyrażających gorące uczucia miłości i zadowolenia. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie przytoczenie dwóch wybranych liścików, którymi w Nrze 339 felietonista „I.K.C." każe się szczególnie wzruszyć. Oto list pierwszy, niewątpliwie sympatycznej sześcioletniej Dzidzi:

> *„Kochany Panie Pułkowniku!*
>
> *Mój Tatuś jest oficerem rezerwy i zawsze dużo opowiada o wojsku... Teraz mi opowiedział, że Pan Pułkownik strasznie zbił Czechów i zabrał im dużo ładnych miast. Ja zato bardzo kocham Pana Pułkownika"...*

Prostota wyrażonej w tym liściku starej prawdy góralskiej: „Dobrze temu dobrze, kto komu łeb odrze, jeszcze temu lepiej, kto kogo oślepi!" jest doprawdy wzruszająca. Niemniej jednak wzruszający jest drugi z wybranych liścików, siedmioletniej Józi D., dowodzący wysokiego wyrobienia umysłowego:

> *„...zasyłam serdeczne podziękowanie za to, że Pułk Strzelców Podhalańskich pod dowództwem Pana Pułkownika walczył o Zaolzie. Tę ziemię naszą zaolziańską zabrali nam Czesi, ale duch polski wśród Polaków nie zginął, jeszcze się wzmocnił, powiększył i tęsknił do Polski"...*

Spodziewać się należy, że przemawiająca takim tonem siedmioletnia Józia doczeka się wysokiej rangi w karierze urzędniczej, jeśli już dziś, w wieku lat siedmiu, pisze w sposób, którego nie powstydziłby się sam radca w szóstym stopniu służbowym.

Jeśli te dwa głosy są najbardziej dziecięce i najbardziej wzruszające, to cóż można sobie pomyśleć o innych.

NOTATNIK ZAGRANICZNY

Płynna Europa

(z. d.) Do marca roku bieżącego panował w Europie nastrój wyczekiwania — cisza przed burzą. Najważniejszym momentem sytuacji międzynarodowej było współistnienie dwóch bloków, italo - niemieckiego i anglo - francuskiego. Wokół obu „osi" zadawano sobie w pierwszym rzędzie pytanie, jaki jest w istocie stosunek ich sił militarnych, w jakim stopniu skoncentrowane są po obu stronach decyzje, w jakim kierunku zwracają się zamiary bloków i stanowiących je mocarstw. Na ogół dominowało przeświadczenie, iż bloki italo - niemiecki i anglo - francuski posiadają cele polityczne rozbieżne, dają się unosić w polityce zagranicznej dwóm nie dającym się pogodzić światopoglądom. W związku z tym na pierwszym planie życia międzynarodowego w Europie znajdowało się pytanie, czy między oboma blokami istnieje równowaga sił, zdolna zagwarantować między nimi i wokół nich pokój. W tę równowagę sił — sił materialnych i moralnych, nie bardzo wierzono i dlatego panował nastrój oczekiwania dnia, w którym dynamiczna energia osi Berlin — Rzym przekształci się w kinetyczną, kiedy z panującego napięcia zrodzi się ruch.

Ruch zjawił się w Europie w dniu Anschlussu, 12 marca 1938 r. Ze zniknięciem Austrii z mapy Europy załamał się pierwszy filar, na którym można było opierać przekonanie o równowadze sił między oboma osiami, względnie wierzyć w przewagę sił osi anglofrancuskiej. Już od lata roku 1937 wyczuwało się, iż Włochy nie są zdolne w warunkach współpracy z Niemcami gwarantować niepodległości Austrii; powstały również przyczyny, dla których niepodległość Austrii przestała mieć dla Włoch znaczenie pozytywne. Wizyta Mussoliniego w Niemczech i rewizyta Hitlera we Włoszech świadczyły, że sprawa Austrii została między nimi całkowicie wyjaśniona, a mogła być wyjaśniona jedynie w sensie zgody Włoch na Anschluss. Poczynając więc od lata roku ubiegłego niepodległość Austrii zawisła na włosku zainteresowania się nią Anglii i Francji, względnie na niewiele grubszej nici ewentualnej decyzji ich i możności zbrojnego przeciwstawienia się dążeniu Niemiec do zdobycia decydującej przewagi politycznej w Europie. Anglia i Francja nie miały żadnych formalnych zobowiązań bronienia niepodległości Austrii, jednak było widoczne, że w razie wcielenia Austrii do Niemiec warunki utrzymania niepodległości Czechosłowacji, do czego Francja była zobowiązana, staną się niezwykle trudne. Bierność, z jaką oba mocarstwa zachodnie przyjęły Anschluss, pozwalała więc pośrednio domyślać się, jakie stanowisko zajmą one w razie postawienia przez Niemcy na porządku dziennym sprawy Niemców sudeckich. Zdecydowana chęć zbrojnej obrony Czechosłowacji, połączona jednocześnie z obawą przed decyzją, pozwoliły Europie rozwiać we wrześniu b. r. ostatnie złudzenia — co najmniej co do duchowej przewagi sił osi anglofrancuskiej. Wydarzenia wrześniowe ukazały również brak przewagi sił militarnych mocarstw demokratycznych nad siłami militarnymi mocarstw totalnych. W ten sposób Europa stanęła wobec faktu, że era status quo, podtrzymywanego przez Francję i Anglię, już się skończyła.

Od tej chwili ruch, który Niemcy zapoczątkowały w obszarze dunajskim, zaczął się udzielać z piorunującą szybkością całej Europie; poruszyły się państwa, narodowości, organizacje polityczne w łonie poszczególnych narodów. Historyk okresu czasu, który obecnie przeżywamy, będzie miał z pewnością więcej historiotwórczych wydarzeń do opowiedzenia niż Anschluss i bezpośrednie polityczne następstwa Monachium. Będzie mógł napewno stwierdzić, że Monachium upłynniło życie i stosunki polityczne Europy i stało się przyczyną dalszych wielkich wydarzeń. Z drugiej jednak strony można być przekonanym, że rozmiary tych historiotwórczych wydarzeń, których dziś dopiero oczekujemy, będą bez porównania skromniejsze niż zakres falowania w dzisiejszych stosunkach politycznych Europy.

*

Płynnymi stały się przede wszystkim stosunki między państwami obu „osi". Świadczą o tym wielomówiące fakty. W Monachium, na marginesie kapitulacji mocarstw zachodnich w sprawie Czechosłowacji, Hitler podpisał z Chamberlainem deklarację wspólnego dążenia do pokoju i zgody. Ale wkrótce potem Hitler zaczął w swych przemówieniach atakować Anglię jako taką i ignorować dążenie jej premiera, zarazem szefa najsilniejszej partii, do zgody z Niemcami. Pozostał nieczuły nawet na rezygnacyjne oświadczenie Chamberlaina o sprawach basenu Dunaju. Prześladowania żydów w Niemczech zatruły do końca stosunki niemiecko - angielskie. Potem znów Niemcy i Francja podpisały w Paryżu podobną deklarację jak w Monachium Hitler i Chamberlain. Można było sądzić, że po uspokojeniu się w przyszłości ataków niemieckich na Anglię i angielskich na Niemcy, przy naprawionych już stosunkach między Anglią i Włochami, pozostanie do ostatecznego utrwalenia stosunków między czterema mocarstwami zachodnimi jedynie załatwienie spraw włosko-francuskich. Co do tego istniał nawet na Zachodzie daleko posunięty optymizm. Tymczasem w dniu 3 grudnia, gdy minister Ciano mówił w Izbie deputowanych o dążeniach narodowych Włoch i stosunkach z Francją, z ławek Parlamentu rozległy się okrzyki: Tunis!, Djibuti!, a na ulicach tłumy krzyczały na domiar tego Korsyka, Nicea!

Ostatecznie więc istnieje na Zachodzie wspomnienie Monachium, które przypieczętowało bezwolną i niezdecydowaną politykę Angili i Francji, lecz miało się stać początkiem nowej ery w Europie. Istnieje zrodzona z ducha i spisana na terenie Monachium deklaracja anglo - niemiecka, istnieje również z monachijskiego ducha zrodzona lecz podpisana w Paryżu deklaracja niemiecko-francuska, istnieje układ anglo-włoski, ale — między prasą, nawet między reprezentacyjnymi i wręcz nawet kierowniczymi osobistościami Niemiec i Anglii wymieniane są słowa co najmniej nieprzyjazne, często wrogie; między sprzymierzoną z Anglią, Francją i Włochami istnieje nastrój więcej niż wrogi, Francja nie przestaje krzyżować planów Włoch w Hiszpanii, a Włosi zaczęli czynić pod adresem Francji niebezpieczne dla pokoju aluzje; tymczasem „oś" anglo - francuska nie traci na mocy, między Niemcami i Włochami nie ma cienia nieufności, naodwrót, Ciano i jego prasa mówią głośno i niedwuznacznie, że w razie wojny oba państwa totalne będą maszerowały razem ramię w ramię. Czyli że deklaracja anglo-niemiecka, spisana z inicjatywy Chamberlaina, została przez Hitlera, powiedzmy, upłynniona; deklaracja francusko - niemiecka, spisana z inicjatywy Niemiec, została znów upłynniona przez Włochy, które równocześnie upłynniły układ anglo-włoski. Paryż jest związany z Londynem. Rzym godzi się z Londynem lecz grozi Paryżowi, Berlin kłóci się z Londynem, lecz godzi się z Paryżem, ale nie ma zamiaru oddalać się od Rzymu. Odnosi się wrażenie, że jeśli Monachium stało się początkiem nowej ery, to tylko w tym znaczeniu, że po załamaniu się równowagi sił między obiema „osiami", totalna posuwa jak pionki po szachownicy dyplomatycznej mocarstwa „osi" demokratycznej.

„Nie sądźcie po pozorach" — powiada Ewangelia. Postarajmy się więc dociec tego, co może się ukryć pod tymi niezbyt dla Angli i Francji chwalebnymi pozorami. Można uczynić dwie hipotezy:

1) Mocarstwa „osi" totalnej przygotowują wojnę przeciw mocarstwom „osi" demokratycznej. W tym celu Berlin i Rzym mogą chcieć początkowo zdezorientować swoich przyszłych przeciwników, zmęczyć ich psychicznie, licząc na to, że w toku tej ciuciubabki dyplomatycznej powstaną rozbieżności między Paryżem i Londynem, które by powiększyły szanse zwycięstwa mocarstw „osi" totalnej. Berlin i Rzym mogą również wypełniać w ten sposób czas, potrzebny Japonii dla przygotowania ze swej strony wojny przeciwko Sowietom i Anglii.

2) Sytuacja rozwija się w kierunku paktu czterech wielkich mocarstw, ale Włochy pragnęłyby przed spisaniem takiego paktu odnieść na Francji jakieś wielkie zwycięstwo, podobnie jak je odniosły Niemcy. Jedenastego stycznia udaje się do Rzymu z wizytą Chamberlain — bohater Godesbergu. Być może Włochy poproszą go o doręczenie Francji jakiegoś ultimatum, dotyczącego sytuacji kolonistów włoskich w Tunisie, Hiszpanii i t. d. Najdalej idący pesymiści twierdzą, że takie ultimatum mogłoby nawet zawierać jako alternatywę pokój wśród „wielkich czterech"... lecz z tym, że wprzódy Francja odda Włochom naturalny port Abisynii — Djibuti. Pesymiści ci twierdzą, że „przecież Chamberlain załatwia takie sprawy bez wojny". Bez wojny dałoby się niewątpliwie załatwić ustępstwa na rzecz praw kulturalnych Włochów w Tunisie i faktyczne oddanie Włochom Djibuti przy zachowaniu pozorów suwerenności francuskiej. Berlin może popierać w tej grze Włochy z myślą o koloniach; kłóci się z Londynem, a godzi się z Francją, gdyż wie, że jeśli zmusi Londyn do ustępstw kolonialnych, to Londyn ze swej strony postara się równocześnie we własnym interesie, żeby Francja też uczyniła kolonialne ustępstwa na rzecz Berlina; na rzecz Berlina — który, w myśl deklaracji, bezpośrednio niczego się od Paryża nie domaga.

*

Na Wschodzie Europy całkowicie płynną pozostaje nadal sytuacja wewnętrzna, a tym samym i zewnętrzna Rusi Podkarpackiej. Sprawy jej mają oczywiście bardzo szeroki rezonans w Europie, zdaje się nawet, że należą one do spraw o nie mniejszym znaczeniu międzynarodowym, jak problemy „wielkich czterech".

O Rusi Podkarpackiej mówił ostatnio w swym expose w Parlamencie faszystowskim minister Ciano. Charakterystyczne, że w tym expose, któremu towarzyszyły okrzyki wrogie pod adresem Francji, Ciano oznajmił, iż w sprawie Rusi Podkarpackiej niema różnicy zdań między Niemcami i Włochami i że mocarstwa te „nie mają zamiaru w trzy tygodnie po decyzji w Wiedniu zmieniać znowu granic Czechosłowacji". Punkt widzenia niewątpliwie całkiem zrozumiały, ale nasuwa się uwaga, że załatwianie spraw granicznych Czechosłowacji nie jest przywilejem Włoch i Niemiec, tylko czymś, co samoistnie wynika z objektywnych faktów politycznych i kulturalnych. Mocarstwa zawsze mogą wywrzeć wpływ na szczegóły rozwoju wydarzeń, lecz tylko w rzadkich wypadkach mogą naturalne wydarzenia tłumić. Otóż wydarzenia wewnętrzne na Rusi Podkarpackiej świadczą, że sytuacja jej jest coraz to bardziej płynna. W dodatku płyną równocześnie — tygodnie, to znaczy czas, który jest największym mocarzem.

Nie bez związku ze sprawą Rusi Podkarpackiej pozostawała podróż króla Karola rumuńskiego do Paryża i Londynu. Jak na razie, jedynym widocznym rezultatem tej podróży jest podniesienie przez Francję poselstwa jej w Bukareszcie do rangi ambasady. Rezultat to, jeśli miałby pozostać jedynym — nadzwyczaj skromny. Po utworzeniu tam ambasady polskiej utworzenie francuskiej pozostało kwestią czasu, a nie negocjacyj zasadniczych. Rezultaty podróży króla Karola otaczane są na ogół wielką, można nawet powiedzieć niezwykłą w podobnych razach dyskrecją. Łatwo jednak wyobrazić sobie, że król Karol nie zastał w Paryżu i Londynie budujących nastroi; cóż miał zastać w tych dzisiejszych stolicach niezdecydowania, chwiejności, zamieszania...? Bezpośredni kontakt ze stolicami Zachodu nie mógł w dzisiejszych warunkach zachęcić faktycznego kierownika polityki rumuńskiej do szukania oparcia tak daleko. Podróż jego powinna więc wpłynąć korzystnie na regionalne ustalenie sytuacji we wschodnich stronach płynnej Europy.

KONTO P. K. O. 11.144

NOTATNIK GOSPODARCZY

Min. Kwiatkowski o polityce autarkicznej

(aa) Incydent sejmowy między pułkownikiem Wendą a wicepremierem Kwiatkowskim odwrócił uwagę od istotnej, gospodarczej treści mowy Ministra Skarbu, absorbując ją raczej na momentach politycznych. Zainteresowanie dotyczyło przede wszystkim sposobu załatwienia incydentu, nie było natomiast bodajże żadnego artykułu w prasie codziennej czy periodycznej na temat meritum sprawy — możliwości, czy też niemożliwości prowadzenia w obecnych warunkach polskich „śmielszej" polityki finansowej, a tym samym realizowania planu inwestycyjnego, zakrojonego na szerszą skalę. Podobna reakcja jest wynikiem nie tyle małych zainteresowań gospodarczych czytelników pism, ile raczej bardzo powierzchownej znajomości zagadnień ekonomicznych wśród dziennikarzy referujących te sprawy...

Wracając do przemówienia Wicepremiera warto zwrócić uwagę na b. ciekawą i prawdziwą analizę polityki autarkicznej, która wbrew popularnym sugestiom nie jest monopolem państw totalnych. Przeciwnie, jak stwierdził min. Kwiatkowski, niezależnie od maskowania formy i przystosowania treści do potrzeby, olbrzymia większość najpotężniejszych państw realizuje te zasady. W krajach o strukturze agrarnej polityka ta dąży do szybkiego uprzemysłowienia, w krajach uprzemysłowionych do odbudowy rolnictwa. W państwach uzależnionych od surowców kolonialnych a pozbawionych kolonii stara się ona rozwinąć produkcję namiastek, w koloniach zamknąć i związać je gospodarczo w ramach imperium. W krajach przeludnionych, a pozbawionych możliwości emigracyjnych — rozbudować zatrudnienie i handel dumpingowy, w krajach ubogich w kapitał i odciętych od kredytów — obalić monopol kapitału zagranicznego.

Każdy rok przynosi nowe, udoskonalone instrumenty, którymi posługuje się polityka autarkiczna, a które służą jedynie państwom w walce o obalenie przewagi kapitalistycznej kilku mocarstw, które ze swej strony nie pogardzają tą samą bronią dla zabezpieczenia swego monopolowego stanowiska. Min. Kwiatkowski przytoczył tu nie tylko Niemcy i Włochy, które bez wszelkiego maskowania rozbudowały cały system tej polityki, ale również zarządzenia Stanów Zjednoczonych, Anglii, Francji, które choć monopolizują większość produkcji zasadniczych surowców (ciekawe dane podawaliśmy w jednym z lipcowych numerów „Narodu i Państwa) czynią wielkie wysiłki, aby usunąć wszelką zależność od obcych krajów w zakresie wytwarzania i tej zasadzie podporządkowują swoją politykę gospodarczą. A dla rezultatów tej polityki jest rzeczą obojętną czy realizuje się ona w drodze formalnej ingerencji władz państwowych, czy na podstawie dobrowolnej inicjatywy społecznej.

Na tym tle zrozumiała jest zupełnie konkluzja, zawarta w przemówieniu Wicepremiera, że państwo, które nie zwracając uwagi na układ istniejących stosunków chciałoby stosować zasady, dotyczące współpracy w skali międzynarodowej, „poniosłoby bezskutecznie olbrzymie ofiary i samo znalazłoby się na brzegu przepaści. Byłaby to nie mądrość doktrynalna, ale głupota". Niestety, ma ona wielu ukrytych i jawnych zwolenników w Polsce!

Mowa Wicepremiera a Kongres Techników

(aa). Wspomniane już wyżej momenty polityczne sprawiły, że ogłaszając relację z odbytego w dniu 4 grudnia Kongresu Techników, starano się odnaleźć jak najwięcej sprzeczności między uchwalonymi na nim rezolucjami a tezami zawartymi w przemówieniu sejmowym kierownika naszego gospodarstwa narodowego. Należy wobec tego wykonać pracę odwrotną i wykazać szereg poglądów zbieżnych — i to na zagadnienia ogromnej wagi.

Druga rezolucja kongresu podkreśla znaczenie organizacji i planu, będących „czynnikiem, wyznaczającym sprawność i wydajność poczynań gospodarczych i społecznych". Tę samą myśl Wicepremier Kwiatkowski wyraził parę dni wcześniej następującymi słowami: „Już kilkakrotnie w historii odrodzonej Polski udowodnione zostało w sposób niewątpliwy, że przy koncentracji woli kierowniczej, przy koncentracji pieniędzy i programu powstają dzieła wielkie".

Inna sprawa, równie zasadnicza: Kongres Techników podchwycił słowa Min. Kwiatkowskiego, stwierdzając, że „toczy się na ziemiach polskich walka, jedyna walka, jaką toczyć warto. Walka o charakter człowieka, który niebawem dojrzeje w Polsce", — i rozwinął je w rezolucji III-ej.

„Zważywszy, że człowiek — jego myśl i jego praca — jest czynnikiem rozstrzygającym o gospodarczej, kulturalnej i politycznej rzeczywistości narodu, czynnikiem zawierającym w sobie nieograniczone możliwości twórcze, — niezbędne jest istnienie takiej kultury, takich warunków bytu i pracy oraz takiej organizacji kształcenia zawodowego, w których dynamika ludnościowa narodu byłaby największa, zdolności twórcze świata pracy byłyby w najwyższym stopniu wykorzystane i zapewnione byłoby zachowanie jego sił fizycznych i duchowych".

Podobnych zbieżności można przytoczyć znacznie więcej. Nic dziwnego zresztą, choć obie enuncjacje powstały niezależnie od siebie, wyrosły one z tego samego nastawienia psychicznego, którego cechami najistotniejszymi były: wiara w siły ludzkie i wolę tworzenia. Nie twierdzę oczywiście, że niema między nimi różnic, ba, nawet punktów sprzecznych. Nie one są jednak najważniejsze, decyduje zasadniczy kierunek, a ten jest wspólny. Zjawisko charakterystyczne i wiele mówiące, że najgorliwszymi szperaczami sprzeczności i politycznymi komentatorami byli ludzie, którzy nigdy by z przekonaniem nie podpisali się ani pod jednym, ani pod drugim programem, ludzie bojący się każdej zmiany obecnego stanu warunków gospodarczych, idealnie dostosowanego do ich potrzeb i interesów. Winni oni zrozumieć, że znacznie łatwiejsze jest uzgodnienie odmiennych metod, zmierzających do tego samego celu, niż wprowadzenie do wspólnego łożyska dwu rozbiegających się w przeciwne kierunki nurtów.

Rozwój spółdzielczości spożywców

(aa) Rocznik statystyczny Związku Spółdzielni Spożywców „Społem" za r. 1937, który ukazał się w ubiegłym miesiącu, przynosi szereg interesujących danych o rozwoju spółdzielczości spożywców w tym okresie. Liczba spółdzielni osiągnęła w końcu roku ubiegłego cyfrę 1430, wykazując w ciągu dwunastu miesięcy wzrost o 21,9%. Podobne, choć nieco słabsze tempo przyrostu wykazuje liczba członków, których Związek grupował pod koniec okresu sprawozdawczego 324 tys. w porównaniu z 294 tys. w r. 1936. Procentowo wzrost wynosi tylko 10,1%. Tę niewspółmierność między przyrostem spółdzielni i członków spowodował fakt, że nowe spółdzielnie powstawały przede wszystkim na wsi, gdzie ilość członków poszczególnych ogniw spółdzielczych jest z natury rzeczy znacznie mniejsza. W roku 1937 założono zaledwie 39 spółdzielni miejskich, a 218 wiejskich.

Terytorialnie największy rozwój spółdzielczości wykazywały województwa lubelskie, lwowskie, nowogródzkie, wołyńskie i białostockie. W dwuleciu 1935 — 1937 przybyło tam 153, 43, 36, 35 i 34 spółdzielnie. Natomiast na terenie ziem zachodnich oraz województwa tarnopolskiego i stanisławowskiego spółdzielczość spożywców znajdowała się nadal w zastoju. W pięciu województwach tej grupy przybyło zaledwie razem 10 spółdzielni.

Równolegle z rozwojem organizacyjnym postępował wzrost obrotów gospodarczych, osiągając w 1937 r. łączną sumę 143 milj. zł. (+ 20,6% w por. z rokiem poprzednim). Największy wzrost obrotów wykazały województwa wschodnie — o 38,6%, południowe o 35,3%, centralne 18,5%. W województwach zachodnich obroty zwiększyły się tylko o 10%, przyczem woj. pomorskie wykazało nawet spadek i to b. gwałtowny o 43,1%. Poprawa ogólnej sytuacji gospodarczej przejawiła się przede wszystkim w tym, że ilość spółdzielni z nadwyżką operacyjną wzrosła z 80,2% w roku 1935 do 87,1% w 1937 r.

Tyle suchych cyfr, charakteryzujących dość pomyślną koniunkturę spółdzielczą. Na jeden moment należy zwrócić specjalną uwagę, a mianowicie na coraz szersze obejmowanie przez Związek „Społem" terenu wiejskiego. Ilość wiejskich spółdzielni spożywców, jak już wyżej wspominałem b. szybko rośnie. W r. 1933 spółdzielnie w miastach stanowiły jeszcze 38,9% ogółu spółdzielni „Społem", w 1937 r. odsetek ich zmalał do 28,2%. Odpowiednio zmieniły się cyfry ogniw wiejskich. W tej przede wszystkim ewolucji szukać należy powodów coraz ostrzejszych zatargów między „Społem" a Zw. Spółdzielni Zarobkowo-Gospodarczych, w którego zasięgu wpływów wieś leżała przed tym prawie niepodzielnie. Zanim powrócimy kiedyś obszerniej do tego tematu, trzeba zaznaczyć, że bez względu na wartość argumentów, jakimi każda z zainteresowanych stron operuje, walka między dwoma polskimi związkami spółdzielczymi jest nadzwyczaj szkodliwa i uderza zarówno w interesy spółdzielczości, jak i interesy społeczne ogółu.

PRZEGLĄD PRASY

Deklaracja Polsko-Sowiecka

Deklaracja polsko-sowiecka z dn. 26 listopada, określona powszechnie jako wydarzenie o wielkiej doniosłości politycznej, potwierdza w sposób wyraźny i jasny, że niezależność i samodzielność polskiej polityki zagranicznej nie jest fikcją, lecz że wypływa z podstawowych założeń programowych tej polityki. Zwraca na to uwagę POLSKA ZACHODNIA (nr 330) pisząc co następuje:

„Oceniając ostatnią deklarację polsko-sowiecką z polskiego punktu widzenia, trzeba przede wszystkim mieć na uwadze zasadniczy wątek naszej polityki zagranicznej: wolę zgodnego współżycia możliwie z wszystkimi sąsiadami. Mamy interes w trzebieniu ideowych refleksyj ustroju sowieckiego na gruncie naszego Państwa. Nie mamy natomiast interesu żadnego w mieszaniu się do cudzych spraw wewnętrznych. Jeżeli taka była nasza postawa wobec Rosji poprzednio, to obecnie mogły tylko wzmocnić się argumenty, przemawiające za nią. Zniknął przecież z powierzchni sojusz wojskowy czesko-sowiecki, który dla nas nosił zawsze posmak jakiejś podstępnej gry — chęci „okrążenia".

Dążenie polityki polskiej do szerokiego oddechu i samodzielności, wyrażające się m. in. we wspomnianej deklaracji polsko-sowieckiej, zostało przyjęte nad wyraz przychylnie we

francuskich kołach politycznych, stwierdzających zgodnie, że powyższe pociągnięcie dyplomatyczne jest i słuszne i korzystne dla sprawy zarówno bezpieczeństwa Polski, jak i pokoju europejskiego.

Według NARODOWCA (nr 279) — polskiego dziennika emigracyjnego z Lens — wartość deklaracji wyraża się w następujących elementach:

„1) Obala bardzo rozpowszechnione na Zachodzie posądzenie, jakoby Polska była jedynie tylko narzędziem polityki niemieckiej. W świetle tego układu widać, że rząd Rzeczypospolitej chce kierować na terenie europejskim swoim własnym planem i dąży wszelkimi środkami do zapewnienia niezależności polityki polskiej.

2) W mowach ministra Becka pojawiały się bardzo często zdania, iż Polska nie chce mieszać się do sporów ideologicznych, które żywo przypominają dawne spory religijne. Nie przywiązywano na Zachodzie do tych oświadczeń większej wagi, uważając je za zwroty o charakterze tylko krasomówczym. Tymczasem układ sobotni rzuca na te dawniejsze oświadczenia ministra spraw zagranicznych — całkiem nowe światło. Polska rzeczywiście dąży do równowagi „ideowej" i nie ma zamiaru brać udziału w żadnych krucjatach tych czy innych koncepcji społecznych. Objaw niezwykle ważny i dla dalszych losów Europy o kolosalnym wprost znaczeniu.

3) Polska wyraźnie podkreśla, że nie tylko nie ma zamiaru być narzędziem cudzych imperializmów — ale potrafi się w danym momencie im przeciwstawić, nie cofając się nawet przed bardzo ryzykownymi postanowieniami".

Jak słusznie podkreśla GONIEC WARSZAWSKI (nr 332), deklaracja mieści w sobie zapowiedzi rozszerzenia podstawy stosunków zarówno politycznych, jak i gospodarczych z Moskwą. Fakt ten może tylko wzmocnić pozycję Polski, gdyż — jak stwierdza pismo — deklaracja:

„1) Jest poważnym ostrzeżeniem pod adresem Niemiec. W Warszawie mówi się, kierując wzrok w stronę granicy Trzeciej Rzeszy: „Chcemy mieć z wami jak najlepsze i najpoprawniejsze stosunki. Lecz nie przeciągajcie struny, gdyż zmusicie nas do prowadzenia polityki, która będzie dla was mocno nieprzyjemna. Do rozsadzania państwa od wewnątrz nie dopuścimy i żadna cena obrony naszej niepodległości i niezależności nie będzie za wysoka".

2) Daje duże korzyści innym państwom, które łączy z Niemcami wiele węzłów — ale które ta ogromna przewaga berlińska zaczyna poważnie niepokoić.

3) Dla Francji, dopóki istnieje przymierze z Polską i pakt wzajemnej pomocy z Rosją — wszelkie dążności do wyrównania nieporozumień między oboma państwami są korzystne, gdyż wzmacniają prestiż Trzeciej Republiki we wszystkich rozmowach z Niemcami. W razie dalszego parcia Trzeciej Rzeszy na Wschód—wyłania się możliwość przeciwwagi, i to bardzo radykalnej".

Swoboda ruchów

Zarysowany w ostatnim czasie pomyślny układ stosunków na północy i na wschodzie (Litwa, Rosja Sowiecka) daje Polsce — zdaniem DZIENNIKA POLSKIEGO — nr. 331) swobodę ruchów w innych regionach. Głównym zadaniem politycznym, które w nowym układzie sił wymaga rozstrzygnięcia, jest — według cytowanego dziennika — w dalszym ciągu sprawa wspólnej granicy polsko-węgierskiej.

„Pierwszy etap dążeń do sąsiedztwa z Węgrami można uznać za skończony. Rezultat nie jest taki, jakiego wymagają interesy Polski i Węgier, gdyż Ruś Zakarpacka nie została zdobyta dla Korony Św. Stefana, mimo życzeń ludności miejscowej, której nie dano swobody wyboru w drodze plebiscytu. Polska udzieliła Węgrom daleko idącej pomocy, jednakże nie mogła iść dalej, niż sami Węgrzy. Rząd węgierski nie umiał wyzyskać wyjątkowo korzystnej okazji, cofnął się przed powzięciem śmiałej decyzji, w której przeprowadzeniu nikt by mu nie przeszkodził. Wprawdzie Niemcy po kryjomu przeszkadzały w sprawie przyłączenia Rusi do Węgier, jednakże oficjalnie temu się nie przeciwstawiały, a poniekąd też nie mogły się wówczas przeciwstawiać. Niestety, Węgrzy brakiem samodzielnej akcji spowodowali konieczność odroczenia rozstrzygnięć ostatecznych w sprawie Rusi Zakarpackiej i dali przez to doskonałą okazję do intryg niemieckich".

Mimo chwilowego nieudania się akcji nie należy — zdaniem pisma — rezygnować z myśli zrealizowania koncepcji wspólnych granic.

„Nie możemy jednak zrażać się odroczeniem realizacji wspólnej granicy polsko-węgierskiej. Hitler dwa razy próbował bezskutecznie zaatakować Austrię, zanim udało mu się ją zdobyć. A i w sprawie Sudetów musiał się raz wycofać wobec zdecydowanego — jak się wydawało w maju i czerwcu br. — stanowiska Anglii i Francji. Odroczenie sprawy Rusi północnej uważamy za wstęp do dalszej akcji, która musi dać pozytywny rezultat, jeśli pokój ma zapanować w Europie środkowej".

„Zależni i niezależni"

W związku z powstaniem na terenie parlamentarnym terminu „niezależny" na oznaczenie posła, nie należącego do O.Z.N., KURJER PORANNY (nr. 334) przeprowadza na swoich łamach generalną rozprawę z tą „fikcją niezależności" i określa ją tak, jak być powinno, t. zn. jako warcholstwo.

„W Polsce od szeregu lat toczy się dokoła zagadnienia niezależności charakterystyczna walka. Koła partyjne, lub te, które uległy duchowi partyjnemu, a jednocześnie sfery, reprezentujące bardzo określone i bardzo egoistyczne interesy walczą gorliwie o „niezależność" polityczną, gromią jako największe zło uzależnienie się od nadrzędnych idei narodowych i państwowych, natomiast jako objaw normalny traktują uzależnienie obywatela od partyj politycznych, mafij i mafijek, a nawet wprost od takich czy innych koncernów ekonomicznych. Wytwarza się przy tym widowisko szczególne. Ten, kto współdziała z państwem, kto pracę swoją opiera na wyraźnych założeniach ideowych, uznających nadrzędność państwa i narodu nad interesami partykularnymi, ten jest człowiekiem zależnym, zaprzedanym, pozbawionym woli, samodzielności, myśli, wyzutym z większych wartości moralnych. Natomiast człowiek, podporządkowany ściśle partiom, międzynarodówkom, kartelom finansowym, a co gorzej nieraz własnym interesom, własnej prywacie, własnym machinacjom, proklamowany jest jako obywatel niezależny, pełnowartościowy, samodzielny, godny zaufania, odważny, oczywiście pod warunkiem, że będzie w sposób „niezależny" zwalczał ideę nadrzędności państwa i narodu".

Tego rodzaju zakłamanie, wpływające fatalnie na psychikę ludzką, wymaga wyraźnego ustalenia hierarchii różnych zależności, jakie w każdym cywilizowanym środowisku muszą istnieć.

„Nie ulega wątpliwości, że na pierwsze miejsce wybijać się będzie zawsze zależność od idei, stojącej na straży nadrzędnych i zbiorowych interesów narodu i państwa. Jest to bowiem zależność, która wymaga pewnej ofiary, właśnie owego podporządkowania swego ja pewnym wyższym celom i aspiracjom. Oczywiście zakres tej ofiary wzrasta w miarę, jak wzmaga się bezinteresowność ideowa prądu, reprezentującego nadrzędne wartości narodowe i państwowe.

Wszelkie inne zależności należą już do innej kategorii. Albo podporządkowują one człowieka pewnym ideom partykularnym, partyjnym, klasowym, albo też uzależniają go od określonych interesów materialnych, albo wręcz od jego osobistych „sobiepańskich" spraw. I zazwyczaj ludzie w ten sposób zależni najwięcej krzyczą o swej rzekomej „samodzielności".

WYDAWNICTWA NADESŁANE

Mieczysław Zydler. URLOP NA WODZIE. Państwowe Wydawnictwo Książek Szkolnych we Lwowie. 1938.

Jerzy Tepa. NA POLSKIEJ ANTENIE. Państwowe Wydawnictwo Książek Szkolnych we Lwowie. 1938.

Emil Piotr Ehrlich. JAK SPRZEDAWAĆ. Państwowe Wydawnictwo Książek Szkolnych we Lwowie. 1938.

Roman Kozłowski. TACZANKA NAPRZÓD. Państwowe Wydawnictwo Książek Szkolnych we Lwowie. 1938.

„HARCHOŁT". Dwumiesięcznik poświęcony sprawom literatury i kultury. Listopad — grudzień. W—wa 1938.

Janusz Aleksander Bodzechowski. PRZEDPROŻE POTĘGI. Warszawa 1938. Skład główny w księgarni F. Hoesicka.

Reginald Campbell. POO LORN. Powieść. Warszawa 1938. Nakładem Wł. Michalaka i S-ka.

Jan Gieryński. LWÓW NIE ZNANY. Lwów 1938. Nakładem księgarni A. Krawczyńskiego.

Prof. Eugeniusz Romer. RADY I PRZESTROGI. Lwów 1938. Skład główny Książnica - Atlas, Warszawa—Lwów.

NUMER POPRZEDNI 45—46 ZAWIERA:

EWOLUCJA POLSKIEGO PARLAMENTARYZMU

Zbigniew Domaniewski
DĄŻENIA I OBAWY FRANCJI

Wiktor Ormicki
POLSKA POLITYKA LUDNOŚCIOWA 1)

Roman Piotrowicz
NIEMCY, BAŁTYK I SOWIETY

Karol Skarbek Radliński
SPRAWA KOŚCIOŁA PRAWOSŁAWNEGO W POLSCE

Szczęsny
NOWE PRAWO MAŁŻEŃSKIE RZESZY

DZIAŁY:

Na marginesie
Życie młodzieży
Życie prowincji
Notatnik zagraniczny
Notatnik gospodarczy
O nas u obcych
Przegląd prasy

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Żórawia 7 m. 30, tel. 809-20. CENA PRENUMERATY: 10 zł. rocznie, 3 zł. kwartalnie, 1 zł. miesięcznie. Zagranicą: 21 zł. rocznie, 6 zł. kwartalnie. Prenumeratę wpłacać można w każdym urzędzie pocztowym: 1) pocztowym przekazem rozrachunkowym na rachunek 771, lub 2) blankietem nadawczym P. K. O. na konto 11144. Egzemplarz pojedyńczy 30 groszy.

CENY OGŁOSZEŃ: 1 strona 600 zł., 1/2 strony 300 zł., 1/4 strony 160 zł., 1/8 strony 80 zł., 1/16 strony 50 zł. W tekście o 50% drożej.

Redakcja przyjmuje: poniedziałki, wtorki, piątki godz. 10—11, środy godz. 17—18. Administracja czynna jest w dni powszednie w godz. 10—14.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „Kuźnia" Sp. z ogr. odp. Redaktor odpowiedzialny: Janusz Koreywo

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa, Warecka 15 Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.